O. Ad. TANQUEREY
ZARYS TEOLOGII ASCETYCZNEJ I MISTYCZNEJ
2 tomy — str. 1314
Cena z przesyłką £ 2.9.0
Do nabycia:
Katolicki Ośrodek Wydawniczy „VERITAS"
12, Praed Mews, London, W. 2.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3, ENGLAND

ROK VIII. Nr 29/369

LONDYN, 18 LIPCA 1954 R.

TADEUSZ FELSZTYN

EWOLUCJA POD OBSTRZAŁEM KRYTYKI

Gdy w 1859 roku Karol Darwin ogłosił swą teorię ewolucji, spotkała się ona z przyjęciem nie tylko przychylnym, ale wręcz entuzjastycznym. A jednak nie była to teoria, która by rozwiązywała liczne sprzeczności, w jakie zawikłały się teorie poprzednie, jak to było np. w wypadku teorii względności. Wprost przeciwnie, dopiero z chwilą jej pojawienia się powstały rozliczne trudności nowe, tak że obecnie więcej jest w niej znaków zapytania niż faktów niewątpliwych. Jeżeli jednak, pomimo tych wszystkich trudności, znalazła ona tak entuzjastyczne przyjęcie wśród uczonych zeszłego stulecia, to zawdzięcza to nie tyle temu, jakoby wypełniała ich potrzeby ściśle naukowe, ile raczej temu, że zaspakajała ich tęsknoty metafizyczne. Powszechnie panujący podówczas w naukach przyrodniczych materializm wzdragał się przed przyjmowaniem jakichkolwiek czynników nadprzyrodzonych lub choćby tylko niematerialnych dla wyjaśnienia zjawisk przyrodniczych. Teoria ewolucji zdawała się więc zaspakajać te wymagania, skoro pozwalała różnolitość form sprowadzić do jedności pochodzenia i szukać mechanistycznych wyjaśnień toku ich rozwoju.

W gruncie rzeczy naukowe przesłanki teorii Darwina były, w chwili jej wygłoszenia, bardzo nieliczne i mocno nieprzekonywujące. Potrzeby metafizyczne uczonych okazały się jednak silniejsze od ich krytycyzmu i kazały im zamknąć oczy na te braki. Toteż w krótkim czasie teoria ewolucji stała się już nie hipotezą naukową, ale wręcz dogmatem naukowym, dogmatem, w który nie wolno było wątpić pod grozą wyklęcia ze świata nauki. I dogmat ten, lekką ręką, bez żadnego właściwie uzasadnienia, przenoszony do innych dziedzin nauki, spowodował, że ewolucja stała się nie budzącym żadnej wątpliwości prawem przyrody, dającym się zastosować zawsze i wszędzie.

Dziś od chwili ogłoszenia Darwina „The Origin of Species" minęło już blisko sto lat. Niewątpliwie jego teoria, jak to słusznie stwierdza ks. dr **Romuald Zaniewski** w swej pracy **„Teorie o pochodzeniu i rozwoju życia a naturalizm chrześcijański"** (Londyn, Veritas, 1953, stron 248), „przez wiek cały była wspaniałym narzędziem pracy, płodną w zdobycze metodą naukową". Tym niemniej, dziś, gdy wiemy znacznie więcej, niż wiedzieliśmy sto lat temu, ilość wątpliwości znacznie przekracza ilość dowodów pozytywnych.

Jakkolwiek jest więc może przesadą to, co za Lemoinem pisze ks. Zaniewski, że „ewolucja... jest dogmatem, w który już jego kapłani nie wierzą", tym niemniej stwierdzić należy, że teoria ewolucji jest dziś w najlepszym razie niebardzo pewną hipotezą naukową, dogodnym narzędziem badawczym. W żadnym wypadku jednak nie jest to jakaś granitowa opoka niewątpliwego prawa przyrody, jak to w szeroką publiczność starają się wmówić jej zwolennicy.

To, co w tym wszystkim jest faktem niezaprzeczalnym, popartym przez bardzo już dziś liczne wykopaliska, to jest rozwój życia na ziemi. Czy rozpoczęło się to tysiąc milionów lat temu, jak dotąd sądzono, czy też o drugich tysiąc milionów lat wcześniej, jak by to wynikało z ostatnich odkryć, faktem jest, że życie na ziemi rozwijało się od form mniej ukształtowanych do form wyżej ukształtowanych, od form, można by powiedzieć, antropomorficznie mniej doskonałych do form bardziej doskonałych. Postęp ten był w jednych epokach geologicznych szybszy, w innych wolniejszy, lecz całość jego nosi charakter jak gdyby planowy. Linia rozwoju jest wyraźna, znamy wszystkie nieomal jej punkty węzłowe i punkty zwrotne, a ilość bocznych odgałęzień jest stosunkowo niewielka i krótkotrwała.

Pod tym względem dotąd zebrane fakty (a to, że je zebrano, jest bezsprzeczną zasługą impulsu teorii Darwina) stanowią dowód bezsprzeczny. Tu jednak kończą się fakty, a zaczynają się hipotezy. Taką hipotezą jest już sam punkt wyjścia wszystkich teoryj ewolucyjnych (a raczej transformistycznych, jak je nazywa ks. Zaniewski, aby odróżnić niewątpliwość ewolucji od hipotezy przemiany gatunków), a mianowicie założenie, że ewolucja ta odbywała się drogą stopniowej przemiany jednych gatunków w drugie. To bowiem, czym dziś dysponujemy, to jak gdyby zbiór zdjęć fotograficznych. Czy są to luźne fotografie, czy też przypadkowo uratowane klatki ciągłego filmu, tego nie wiemy i wiedzieć nie możemy.

O tym hipotetycznym charakterze swej teorii doskonale zresztą wiedział sam jej twórca, Darwin. W liście, którego odbitkę fotograficzną podaje ks. Zaniewski w swej książce, Darwin pisze wyraźnie, że „wierzy w dobór naturalny... tylko dlatego, że proces ten mógłby najlepiej wytłumaczyć grupę pewnych faktów, zaobserwowanych w przyrodzie".

Ks. Zaniewski w jasny i przekonywujący sposób wykazuje, na jak kruchych przesłankach oparte są nie tylko teorie, które starają się wytłumaczyć mechanizm owej rzekomej przemiany, ale nawet sama hipoteza przemiany. I choć może wniosek autora, że mamy tu do czynienia nie z przemianą jednych gatunków w drugie, lecz raczej z pojawianiem się jednych, a wymieraniem drugich, wydaje się nieco zbyt pochopny (a może tylko sprzeczny z tym, w co przyzwyczailiśmy się wierzyć), tym niemniej wczytanie się w jego argumenty jest niezmiernie pożyteczne dla każdego, kto chce wyrobić sobie sąd własny. Widać bowiem wyraźnie, ile w dotychczasowych teoriach, z taką apodyktycznością głoszonych przez ich zwolenników, jest twierdzeń przyjętych na wiarę i nieuświadamianych sobie przyzwyczajeń myślowych, a jak mało rzeczowych dowodów. Jest to zaiste dziedzina, która czeka na swego Einsteina, aby spod złoża nawarstwień bezkrytycznie, od szeregu już pokoleń uczonych, przyjmowanych twierdzeń wydobył cenny kruszec niewątpliwych faktów i połączył je ze sobą w najprostszą, najmniejszą ilością hipotez operującą teorię.

Ta niesłychana powierzchowność i tendencyjność argumentów uderza zwłaszcza przy rozpatrywaniu teorii o rzekomym pochodzeniu człowieka od małpy, czy też — jak chcą obecne teorie — od jakiegoś wspólnego przodka małp i ludzi, pramałpoczłeka. Bogactwo argumentów, jakie tu autor przytacza, jest tak wielkie, że nie sposób ich nawet streścić w recenzji. Nie mogę się jednak oprzeć pokusie przytoczenia dwu przykładów. I tak np. dr Dubois, odkrywca rzekomego członu ewolucji człowieka, zwanego Picecanthropus erectus, całą swą teorię oparł na wykopaliskach części czaszki, będącej jak gdyby czymś pośrednim między czaszką człowieka i małpy, dwu zębów, znalezionych w odległości trzech i jednego metra od czaszki, a wreszcie kości udowej, odległej o piętnaście metrów od czaszki. Nie ma więc żadnej pewności, czy te elementy, na których dr Dubois oparł swój opis owego rzekomego poprzednika człowieka, należały do jednego osobnika. A co tego przez trzydzieści lat przemilczał on przed światem naukowym fakt, że w miejscu jego odkrycia były i liczne inne kości, co bardziej jeszcze osłabia jego przypuszczenie, że te właśnie cztery kości, które pasowały do opisu Picecanthropusa, były kośćmi jednego i tego samego osobnika.

Inny antropolog, Dart, wykopał czaszkę, której pojemność obliczył. Znaleziony w tej czaszce ząb, wskazywał na to, że był to osobnik młody. I to wszystko. I tu dopiero zaczyna się żonglowanie hipotezami. Był to osobnik młody, a więc czaszka osobnika dorosłego musi mieć większą pojemność. Czy koniecznie? — słusznie zapytuje ks. Zaniewski, — wszak jeden osobnik może mieć w wieku lat 16 czaszkę całkowicie nieomal już rozwiniętą, inny — nic. Dart jednak nie wątpi w słuszność swej hipotezy i na tej, jakże kruchej podstawie oblicza, jaką pojemność musiałaby mieć czaszka osobnika dorosłego. Co więcej, przyjmując bez żadnych właściwie racji ku temu, że był to osobnik płci żeńskiej, u którego czaszka ma mniejszą pojemność niż czaszka osobnika męskiego (co również jest słuszne jedynie, jeśli chodzi o wielkość przeciętną, bynajmniej jednak nie potwierdza się w dwu dowolnie wybranych osobnikach płci odmiennej), podaje on dokładnie (!), jaką pojemność musiała mieć czaszka dorosłego osobnika tego samego gatunku, co jego wykopalisko. I na tej podstawie twierdzi, że musiał to być gatunek pośredni między małpą (czy też pramałpoczłekiem) i człowiekiem.

Jak słusznie wykazuje ks. Zaniewski, do takich samych wniosków można by dojść rozpatrując czaszki osób współczesnych. I tak np. dość niedawno zmarł w jednym ze szpitali paryskich człowiek, którego czaszka miała wyraźnie uwydatnione łuki brwiowe. Gdyby czaszkę tę znalazł jakiś antropolog, zwłaszcza w stanie uszkodzonym, jak to bywa z większością wykopalisk, mógłby z dużą dozą rzekomej słuszności dowodzić, że jest to czaszka jakiejś istoty małpoczłowieczej.

Dowodów takich przytacza ks. Zaniewski bez liku. Druzgocąca jego krytyka wykazuje, że ani jeden typ, mający rzekomo być typem pierwotnego człowieka, nie jest niczym innym, niż produktem bardzo nielicznej garści faktów i bardzo bujnej imaginacji uczonych. Toteż twierdzenie o rzekomym pochodzeniu człowieka od istot niższych jest dziś jedynie aktem wiary materialistycznych uczonych, a nie teorią naukową.

Ta część książki ks. Zaniewskiego jest niewątpliwie najcenniejszą. Żałuję bardzo, że nie mogę tego samego powiedzieć o części, poświęconej rozpatrywaniu problemu powstania życia na ziemi. O ile problem poza-ziemskiego pochodzenia życia (którą to teorię autor nazywa zupełnie zbędnym terminem transpermizmu) został omówiony wyczerpująco, o tyle rozdział, mówiący o historii teoryj samorództwa, jest właściwie zbędny, gdyż mówi o rzeczach zupełnie dziś już przebrzmiałych. Szkoda natomiast, że autor zupełnie nie zajął się teoriami ewolucyjnego powstania życia. Są one w chwili obecnej bardzo modne i stanowią ulubiony temat dyskusji naukowych między biologami, zwłaszcza w Anglii. Ostry zmysł krytyczny autora znalazłby tu wdzięczne pole dla siebie. Miejmy nadzieję, że autor wróci do tego tematu w zapowiedzianym drugim tomie.

O ile krytyka teoryj obecnych jest u autora przedstawiona z dużą dokładnością i logiką, o tyle niestety teza pozytywna, zapowiedziana w tytule książki (naturalizm chrześcijański) przedstawia się słabiej. Może w planie autora ma to być ujęte w tomie drugim. W dotąd jednak wydanej książce swe istotnie ciekawe poglądy rozproszył autor po całej książce tak, że czytelnik ma dużą trudność wytworzenia sobie jakiejś jasnej syntezy poglądów autora. O ile się można dorozumieć, uważa on, że człowiek nie jest ani nowym gatunkiem, ani nawet nową klasą, czy grupą w świecie zwierzęcym, ale że — mimo podobieństwa ciała do zwierząt — jest to nowe królestwo świata organicznego, różniące się od królestwa roślin i zwierząt posiadaniem wyłącznego atrybutu duszy nieśmiertelnej.

Jeśli chodzi o pytanie, czym jest właściwie życie, to autor (jak znów tylko domyślać się można) podziela pogląd ks. Sertillange, że istota żywa to nie tylko konglomerat związków i procesów chemicznych, podobnież, jak dom, to nie tylko zbiór cegieł, ale i plan architekta. Toteż choćbyśmy najdokładniej poznali wszystkie reakcje chemiczne i fizyczne organizmu, ciągle jeszcze nie będziemy wiedzieli, czym jest życie. „W organiźmie" bowiem „wszystko odbywa się przy pomocy czynników fizycznych, chemicznych i mechanicznych, jak gdyby nie było duszy" (w tomistycznym znaczeniu tego słowa, a więc duszy zwierzęcej lub roślinnej, a nie nieśmiertelnej duszy ludzkiej), „i wszystko odbywa się w sposób witalny, zgodnie z prawami duszy". I to właśnie jest wymownym dowodem, że — jakie by nie były prawa rządzące organizmami żywymi i ich ewolucją — Boga z przyrody usunąć nie można. Bez Jego bowiem celowej i nieskończenie rozumnej Inteligencji przyroda jest niezrozumiała.

Pewną wadą książki jest brak indeksu. Słownictwo jej nieraz pozostawia wiele do życzenia. Nawet w słowach tak już dziś w polskim słownictwie powszechnych, jak „drobina", „gady", czy „dobór", autor stosuje nazwy takie jak „molekuła", „płazy ziemnowodne" i „selekcja". Wydaje mi się, że dziś, gdy wpływ słownictwa sowieckiego coraz bardziej zachwaszcza słownictwo w Kraju, dbałość o prawidłowe słownictwo powinna być szczególną troską każdego autora.

Bardzo cennym wkładem jest wykaz literatury na końcu każdego rozdziału. Widać z niego jednak, że warunki nienormalne, w jakich pracuje każdy polski pisarz emigracyjny, uniemożliwiły autorowi dostatecznie wyczerpujące zapoznanie się z powojenną literaturą przedmiotu. A szkoda. Znalazłby tam bowiem niejeden cenny argument na poparcie swych tez. Ta sama dbałość o aktualność powinna była skłonić autora do zaznaczenia na końcu książki, jeśli już nie dało się tego uwzględnić w jej treści, że czaszka z Piltdown, na którą autor wielokrotnie się powołuje, była świadomym fałszerstwem. Wyjawienie tego faktu miało miejsce w czasie druku książki. Zwięzła choćby notatka na ten temat na jej końcu byłaby więc bardzo wskazana.

Tadeusz Felsztyn

PIUS X ŚWIĘTYM WSZYSTKICH CHRZEŚCIJAN

W kanonizacji Piusa X brał udział nie tylko świat katolicki, lecz w tej wielkiej uroczystości uczestniczyły również i inne wyznania. Na placu św. Piotra w dniu 29 maja były obecne delegacje wyznania mojżeszowego z rzymskim rabinem Cohnem na czele, delegacja protestancka i prawosławna. Kult nowego Świętego wybiega daleko poza granice katolickie, staje się w pełni tego słowa powszechnym. O tej powszechności świadczyć może m. in. artykuł pisma protestanckiego „Svenska Dagbladet" z dnia 30 maja 1954 r. pióra Knut Hageberga, poświęcony Piusowi X. Poniżej przytaczamy treść tego znamiennego artykułu w dosłownym tłumaczeniu.

—◆—◆—

Z powodu kanonizacji Piusa X prasa i społeczeństwo interesują się specjalnie przyczynami tego wydarzenia. Szczególnie zwracają uwagę na cuda, które są mu przypisywane, oraz powtarzane są różne anegdoty rzucające światło na pobożność starego papieża i jego wielką pokorę. Dużo się mówiło o tej wielkiej prostocie, która cechowała syna lombardzkiego chłopa, nawet gdy był już w Watykanie.

Papież miał też i inne cechy charakteru, które spotykały się nie tylko z uznaniem. Pontyfikat jego był burzliwy. Posunięcia bywały krytykowane przez teologów. Ten nowoproklamowany Święty był tym, który żelazną pięścią zmiażdżył modernizm katolicki. Wydał bullę „Pascendi Dominici Gregis" z 8. IX. 1907 r., będącą dokumentem kategorycznym.

W książce Nathana Söderbluma „Problemy religijne katolicyzmu i protestantyzmu", wydanej w 1910 r., znajduje się jasny obraz zasadniczego problemu. Ta tak zwana teologia liberalna, z Welhausenem i Harnackiem na czele, miała wpływ nawet na społeczeństwo katolickie. Wyrafinowany i pełen subtelności umysł Leona XIII nie przeciwstawiał się niemieckiej krytyce biblijnej pod warunkiem jedynie, by w dziedzinie Kościoła katolickiego zatrzymywała się na granicy filozofii tomistycznej. We Francji szczególnie istniały prądy, które coraz bardziej się zbliżały do niemieckiej teologii liberalnej podówczas uważanej za najwyższy stopień wiedzy religijnej. Wszystkie te tendencje w łonie Kościoła katolickiego zostały zniweczone przez bullę Piusa X, o której wyżej wspomniano. „Nasza misja polega na tym, by paść owieczki Chrystusowe i z najwyższą troską strzec czystości wiary przeciw nowinkarstwu i tak zwanej wiedzy." Po czym idą paragraf za paragrafem druzgocące tezy teologiczne i komentarze do nich, które ówcześni katoliccy i protestanccy badacze uważali za nie podlegające dyskusji. Wrażenie bulli było piorunujące. Wielu filozofów i filologów katolickich zostało ekskomunikowanych lub doprowadzonych do milczenia. Włoski pisarz Fogazzaro w swojej powieści „Il Santo" opisuje w sposób wzruszający ból, jaki odczuły we Włoszech sfery katolickiej inteligencji. Uważano to za wznowienie hiszpańskiej inkwizycji. Mówiono nawet o tym, jak niebezpiecznym był wybór papieża, który będąc kardynałem w Wenecji nie czytywał rzekomo innej gazety jak „Gazettino di Venezia".

Od tego czasu wiele wody upłynęło. Bardzo wnikliwy człowiek stojący wówczas po stronie modernistów pisał w 1907 r. o Piusie X: „Ojciec Święty żyje w bezkompromisowości; przypomina celebransa, który podczas procesji Bożego Ciała ma oczy zwrócone jedynie w złote słońce monstrancji i zapominając o wszystkim widzi tylko Hostię. Idzie naprzód nie patrząc na drogę a tylko zajęty jest rozmową, którą rozpoczął z Bogiem. I tak kroczy Pius X stale naprzód, niepodobny w tym do żadnego swego poprzednika."

Teraz dopiero widzimy jasno, iż on nie błądził. Modernizm katolicki znalazł się w chaosie i rozterce. Najwybitniejsza jednostka z ich szeregów Alfred Loisy zakończył życie pozbawiony religii; Piusa X najostrzej krytykowane tezy są w wielu wypadkach takie, iż mogłaby je przyjąć nowoczesna teologia luterańska opierając się jednak na odmiennych argumentach.

Uduchowiony papież Sarto był odpowiedzialnym władcą Watykanu mając podległych sobie kierowników polityki watykańskiej. Sekretarzem stanu był hiszpańsko-angielski kardynał Merry del Val, którego sympatie szły raczej ku katolikom amerykańskim niż francuskim. Zerwał on z polityką ugodową stosowaną wobec republiki francuskiej przez kardynała Rampollę.

Wydaje się, iż wiele rzeczy poszło w zapomnienie. Ten papież Sarto, o którym się mówi, jest też i tym, którego widział Claes Lagergren jak pochylając się nad małą sparaliżowaną genuenką, wziął dwie jej rączki w swoją rękę, przytulił jej główkę i razem zaczął odmawiać „Credo in Unum Deum Patrem Omnipotentem". Po czym dziewczynka spostrzegła ze zdumieniem, że może chodzić.

Oto dlaczego papież Sarto, Pius X, został Świętym.

Tłum. **L. J. i Z. B. J.**

REFORMA KALENDARZA

Rząd Indii przedłożył Organizacji Narodów Zjednoczonych wniosek reformy kalendarza; w związku z tym „Osservatore Romano" w numerze z 28-29 czerwca zamieścił artykuł pióra dyrektora watykańskiego obserwatorium astronomicznego, jezuity D. J. K. O'Connella. Autor artykułu stwierdza, że przy różnych okazjach w ciągu ostatnich trzydziestu lat były Lidze Narodów przedkładane różne projekty zmiany kalendarza. Jeden z nich przetrzymał próbę czasu, mianowicie projekt „World Calendar Association", zaproponowany obecnie przez Indie. Jest interesujące, że ten projekt był pomysłem kapłana katolickiego Marco Mastrofini'ego i został opublikowany w książce wydanej w Rzymie w roku 1834, a więc przeszło sto lat temu.

Poprzednio rządy państw chrześcijańskich przedkładały projekty zmiany kalendarza, a obecnie czyni to rząd państwa, którego ludność jest w większości swojej niekatolicka, co świadczy o wzrastającym zainteresowaniu i potrzebie zmiany kalendarza, przy przyjęciu za podstawę kalendarza gregoriańskiego i wprowadzeniu pewnych zmian. Projekt przewiduje, że rok składa się z czterech równych trymestrów, a ostatni dzień roku, w latach przestępnych także dzień następujący po 30 czerwca są dniami białymi, które nie należą do żadnego tygodnia czy miesiąca. W ten sposób każdy dzień roku przypadałby zawsze na ten sam dzień tygodnia. Projekt nie jest jednak reformą kalendarza gregoriańskiego, ponieważ nierówność obecna trymestrów i ilość dni w poszczególnych miesiącach są pozostałością z czasów pogańskiego Rzymu. Jeśli zaś chodzi o początek roku, to już 16 wieków przed Grzegorzem XIII Rzymianie zaczynali go 1 stycznia, co było następnie przyjęte przez większą część Europy, jakkolwiek w tzw. średniowieczu w różnych krajach Europy wprowadzano początek roku od dnia 25 marca jako dnia Wcielenia Chrystusa lub od dnia 25 grudnia. Artykuł „Osservatore Romano" wyjaśnia to wszystko nie tylko ze względu na nieznajomość świata wschodniego w tej sprawie, ale i ze względu na pomieszanie pojęć w świecie zachodnim.

Jeśli chodzi o stanowisko Kościoła katolickiego odnośnie projektów reformy kalendarza, niektórzy myślą, że Kościół powinien z konieczności przeciwstawić się wszelkim dążeniom do zmian. Wobec tego artykuł pisma watykańskiego stwierdza wyraźnie: „Uważamy, że Kościół nie ma powodów zasadniczych do przeciwstawienia się zmianie obowiązującego kalendarza. Wobec powszechnego pragnienia reformy, umotywowanego poważnymi wymogami życia ekonomicznego i społecznego narodów, Kościół katolicki nie omieszkałby wziąć pod rozwagę tego zagadnienia, z zachowaniem naturalnie niektórych warunków, od których nie może odstąpić. Ściśle związane z dzisiejszym wnioskiem reformy kalendarza jest zagadnienie ustalenia daty Wielkanocy. Obrońcy „Kalendarza Powszechnego" oświadczają, że nie chcą dotykać takiej kwestii. Zdają sobie oni całkowicie sprawę, że ta materia należy do Władzy kościelnej. Nie można, zresztą, zapoznać, że wiele osób odczuwa pragnienie ustalenia daty Wielkanocy. W pierwszych wiekach Kościoła były długie i niekiedy zacięte dyskusje nad datą Wielkanocy, które miały swój epilog na Soborze w Nicei (w r. 325 po Chrystusie). Jest przeto naprawdę czcigodną ta tradycja, która umieszcza Wielkanoc na pierwszą niedzielę po pierwszej pełni księżyca, przypadającej po wiosennym zrównania dnia z nocą. Kościół jednak, który ustalił tę regułę, miałby z całą pewnością także władzę zmodyfikowania jej, gdyby były poważne racje, jakie doradzałyby takie postępowanie."

KAPLICA POLSKA W BAZYLICE ŚW. PIOTRA

W dniu 13 maja br. J. E. Ks. Arcybiskup Józef Gawlina oraz ambasador polski przy Watykanie dr Kazimierz Papée i ks. prał. Walerian Meysztowicz odwiedzili groty watykańskie pod bazyliką św. Piotra, gdzie ma być zbudowana kaplica polska poświęcona Matce Boskiej Częstochowskiej. Kaplica ta była już przed kilku laty przyrzeczona polskiej ambasadzie. Obecnie obietnica została zrealizowana i rozpoczęto prace nad przebudową kaplicy.

Budowa tej kaplicy zależy bezpośrednio od Kongregacji „Pro Fabrica Ecclesiae S. Petri", które prefektem jest kard. Tedeschini. Techniczne wykonanie robót powierzono inż. Franc. Vacchini. Plan tego inżyniera jeszcze nie został zatwierdzony przez Arcbpa Gawlinę i ambasadę polską przy Watykanie.

Dziś kaplica jest jeszcze pusta. Tymczasowo znajdują się w niej grobowce nieznanych dostojników duchownych, prawdopodobnie papieży. Ściany jej mają być wyłożone trawertynem, podobnie posadzka z marmuru. Na ołtarzu marmurowym ma być wykonany z mozaiki obraz Matki Boskiej Częstochowskiej przez wyspecjalizowane w tej sztuce zakłady watykańskie. Mozaiki watykańskie — jak to widać w ołtarzach bazyliki — naśladują bardzo malarstwo.

Kaplica polska znajduje się na poziomie bazyliki cesarza Konstantyna w najbliższym otoczeniu grobu św. Piotra. Wejście do niej jest w prawej części półkolistego korytarza prowadzącego naokoło grobu św. Piotra, a oficjalne reprezentacyjne wejście w przyszłości może być z bazyliki górnej przez stopnie do Konfesji św. Piotra i na prawo obok figury klęczącego papieża Piusa VI. (IC)

KLAUDIUSZ HRABYK

Polski kryzys wewnętrzny z punktu widzenia moralnego

Od znanego publicysty politycznego p. Klaudiusza Hrabyka otrzymaliśmy artykuł o moralnym aspekcie polskiego kryzysu wewnętrznego. Mimo, iż nie wszystkie opinie wyrażone w tym artykule podzielamy, jednak całkowicie zgadzamy się z jego myślą główną.

Redakcja „ŻYCIA"

W przemówieniu montrealskim 19 czerwca br. gen. K. Sosnkowski potwierdził ocenę jednego z pism londyńskich, że w ostatnim kryzysie wewnętrznym na emigracji „stan rzeczy wytworzony przez upór i samowolę nielicznych jednostek (jest) kryzysem ustrojowym, moralnym i politycznym".

Moralny aspekt tego problemu tkwi bodaj w tym, co mówca montrealski określił następująco:

„Piękna to rzecz „umieranie na sztandarach", ale nie jest przecież rzeczą obojętną, jakie hasła są na nich wypisane. Kto patrzył na polu bitew w oczy śmiertelnie rannemu żołnierzowi, mógł łatwo wyczytać w gasnących źrenicach odblask trzech prostych, lecz prawdziwie wielkich słów: „Bóg, Honor i Ojczyzna"; słów, które niosą w sobie ulgę i spokój w godzinie śmierci, nadają jej sens i usprawiedliwienie. Niechże każdy, kto chce prowadzić naród poprzez zdradliwe zakręty historii, zbudzi w sobie ducha pokory, pomny na ofiarę żołnierską, i baczy pilnie, aby nie zatrzeć istotnych wartości, dla których powinno się żyć i walczyć. Spory o władzę czy raczej o jej strzępy, nieugiętość w wykazywaniu, że bierze się ją nie po to, aby ją oddawać, niezłomność w obronie stanu posiadania osoby lub koterii, nie zdołają stworzyć związków duchowych z masami, ani wzbudzić w nich uczuć uznania, zaufania czy entuzjazmu. Władza, władza! Czym prędzej ten brzydki i śmieszny w naszych warunkach wyraz należy skreślić z emigracyjnego słownictwa i zastąpić pojęciem służby narodowej".

Nie jest okolicznością obojętną w ostatnim kryzysie polskim na emigracji, że linia podziału w tej sprawie uformowała się niezależnie od sztywnych, dotychczasowych barykad partyjnych. Oznacza to niechybnie, że w zagadnieniu tym odgrywają decydującą rolę mierniki nie tylko polityczne. Śmiem twierdzić, że właśnie moralne.

Konflikt między Prezydentem i nieliczną grupą jego koterii a ogółem społeczeństwa i wszystkimi stronnictwami i zorganizowanymi ośrodkami społecznymi polega nie tyle na różnym interpretowaniu konstytucyjnych zawiłości lub na odmienności stosunku do tych lub innych poglądów politycznych, ale na powszechności przekonania w szerokich masach polskich na emigracji, że dzieje się oczywisty gwałt w stosunku do kardynalnej zasady moralnej, która mówi, że samowola jednostki, choćby przybranej w purpurę majestatu, nie może naruszać i deptać solidarnej woli całego społeczeństwa.

Jest to zagadnienie podstawowe, niezależne od formuł konstytucyjnych i porządku prawnego, które w nowoczesnym świecie tak silnie wżarło się w świadomość ludzką, że nawet w ustrojach totalistycznych każdy ze znanych nam współcześnie dyktatorów zabiegał i zabiega przede wszystkim bodaj o pozory zatwierdzenia jego samowoli przez społeczeństwo.

Hitler i Mussolini doprowadzili tę sztukę do perfekcji, opierając ją na gruntownej znajomości psychologii człowieka i mas, co pozwalało mobilizować sympatię a nawet entuzjazm rządzonych społeczeństw, chociaż ich interesy i prawa były wyraźnie naruszane. Niemcy potrafili latami głodować i równocześnie aprobować u siebie system skrajnie policyjny, godząc się na terrorystyczne metody Hitlera, który potrafił wydobyć z narodu niemieckiego niekłamane poparcie dla swego stanowiska. Można sumiennie powiedzieć, że samowola Hitlera ani przez jedną godzinę jego rządów nie działała wbrew woli znakomitej większości narodu niemieckiego. Podobnie było we Włoszech, gdzie ostatecznie doszło do buntu przeciw dyktatorowi i z tą chwilą stracił on panowanie nad sytuacją. Warto przypomnieć, że Mussolini przez cały czas opierał swą władzę na starej konstytucji włoskiej, nie przewidującej faszyzmu dla królestwa Włoch i jest to najlepszy dowód, że budował swą siłę i wpływ na innych zgoła podstawach niż czysto formalne, apelując ze skutkiem przez lat przeszło dwadzieścia do moralnych wartości w postawie swego narodu. Rozumiał bowiem, że stanowią one rozstrzygający element w stosunku współczesnej masy ludzkiej do rządu.

W Rosji sowieckiej mamy do czynienia z analogicznym zjawiskiem. Aprobata ze strony rządzonych wymuszana tam była najpierw gwałtem i podstępem, ale komuniści nigdy nie lekceważyli tego czynnika w okresie swoich rządów. Pokpiwamy sobie często z „jednomyślności" rezultatów wyborczych w Związku Sowieckim i w innych krajach komunistycznych, gdy niezmiennie zawsze co najmniej 99% ludności musi wypowiadać się za listą rządową, ale w tym rytuale komunistycznym wyraża się właśnie troska o to, aby nie uchybić bodaj pozorowi zasady, że rządy tamtejsze posiadają powszechne poparcie ludności. **Stalin**, cyniczny dyktator i samodzierżca, dbał przede wszystkim o to, aby za jego stanowiskiem wypowiadała się „jednomyślna" opinia całej Rosji i że jest ona silniejsza, aniżeli w jakimkolwiek państwie demokratycznym.

Nie mówimy już o demokracji Zachodu, gdzie wśród wolnej gry sprzecznych sił nie ma mowy o tym, aby rząd lub Prezydent mogli chociaż przez chwilę pozostawać przy władzy wbrew woli większości.

Jeżeli zatem w całym świecie obowiązuje powszechne i najgłębsze przekonanie, że rządy nie mogą znajdować się w jaskrawej sprzeczności z wolą rządzonych, a jeśli nie ma innej drogi do uzyskania ich aprobaty, to trzeba przynajmniej stwarzać sztuczne tego pozory — dramatyczny incydent, jaki zaszedł ostatnio wśród emigracji polskiej wywołując potężny wstrząs polityczny wśród wszystkich wolnych Polaków — posiada swe źródło w ciężko obrażonym ich poczuciu moralnym, że została pogwałcona wola społeczeństwa. W normalnych warunkach następstwem tego wstrząsu byłaby rewolucja, której nie zahamowałby żaden przepis Konstytucji, ani żaden autorytet na niej oparty.

Można i trzeba być zwolennikiem i obrońcą Konstytucji kwietniowej, ponieważ jest to zasadnicza ustawa regulująca nasz wewnętrzny porządek prawno-państwowy, zapewniający ciągłość instytucyj państwa polskiego rzeczywiście suwerennego. Ale trzeba być również zwolennikiem i twardym obrońcą moralnego porządku kształtującego wewnętrzny stosunek każdego z nas do zagadnień zbiorowego życia ludzkiego, a także do organizacji państwowej.

Od lat przeszło trzydziestu należę do zdecydowanych zwolenników teorii o moralnym pierwszeństwie idei państwa przed innymi wartościami, oczywiście w zakresie wartości doczesnych. Na tym tle — lat temu dwadzieścia — zrodził się konflikt pomiędzy znaczną częścią młodego pokolenia Polski a starszą jej generacją w obozie Dmowskiego. Wychowani w duchu walki o umocnienie bytu państwa polskiego i zaprawieni do niej na polach bitew w roku 1920, należeliśmy do wyznawców zasady, że naród polski może kształtować swój byt tylko w ramach niepodległego państwa i że dlatego państwo to winno stać się główną troską całego narodu. Na podłożu tego poglądu powstał Obóz Wielkiej Polski.

Kiedy jego koncepcji przeciwstawiły się siły opierające swój światopogląd na zasadach sprzeczności interesów narodu i państwa — część młodych wyznawców idei Dmowskiego, sformułowanej przez niego w okresie roku 1925 i późniejszych — odeszła, udzielając poparcia koncepcji wyrażonej w Konstytucji kwietniowej.

Wypowiadając się jednak za tą koncepcją byliśmy gotowi walczyć o uznanie dla niej ze strony całego narodu, a nie działać na jej podstawie — wbrew jego woli.

Ten proces rozpoczął się w ciągu czterech ostatnich lat przedwojennych. Można w nim krytykować z dużą słusznością niedoskonałość założeń i nieporadność metod, z jakimi przystępowano do realizacji zamierzeń, ale jedno nie ulega wątpliwości, że podejmowano wszechstronne próby, aby dla Konstytucji kwietniowej i jej idei zdobyć uznanie i poparcie co najmniej większości społeczeństwa. Ujawniło się w tym najlepiej poczucie jej twórców i obrońców, że wbrew woli społeczeństwa rządzić na podstawie Konstytucji nie można. Nigdy zresztą — wbrew rozpowszechnianym sugestiom — nie było to zamiarem jej twórców.

Wojna przerwała te wysiłki, ale nie zabiła świadomości i moralnego przekonania Polaków, że nie wolno rządzić nimi wbrew ich woli i stanowisku. Świadomość ta znalazła swój formalny wyraz w „umowie paryskiej" nie tylko aprobowanej jawnie przez przeciwników a milcząco przez zwolenników Konstytucji, ale stosowanej także przez dwu wojennych Prezydentów na emigracji. Po raz pierwszy złamał ją ostatnio Prezydent Zaleski tworząc rząd Mackiewicza bez żadnej z nikim konsultacji. Nie jest rzeczą przypadku, że wydarzenie to zbiegło się z ciężkim konfliktem pomiędzy Prezydentem a całym społeczeństwem polskim w wolnym świecie. Decyzję Prezydenta z 7 i 8 czerwca odczuto powszechnie jako zasadnicze naruszenie nie tyle Konstytucji, ile jako ciężką obrazę moralnej zasady, w myśl której nikt nie ma prawa podejmować w imieniu polskim decyzyj wbrew jednomyślnej woli samych Polaków.

W tej solidarnej reakcji wyraziła się jeszcze raz organiczna łączność nasza z zasadami kultury chrześcijaństwa i Zachodu, co zaświadczyło i bardzo plastycznie ujawniło, że stosunek emigracji do problemu rządu w Polsce nie jest tylko zagadnieniem czysto politycznym. Opór wewnętrzny przeciw samowolnej decyzji naruszającej wolę społeczeństwa zrodził się w 1954 przeciw rządowi Mackiewicza i decyzji Prezydenta Zaleskiego z podobnych przesłanek, co w 1945 przeciw autorom Jałty rozstrzygającym w naszym imieniu, ale wbrew naszej zgodzie i woli o polskim losie, jak później przeciw rządom samowolnie tworzonym w Warszawie. Do tamtych spraw dochodziła — prócz tego — sprawa rozbioru Polski i zdrada popełniona wobec ofiar polskich w czasie wojny. Ale przede wszystkim był to powszechny protest przeciw decyzjom podejmowanym wbrew stanowisku narodu polskiego i z wyraźnym pogwałceniem jego woli. Polacy pozostając na emigracji i utrzymując tu ciągłość swego konstytucyjnego rządu, uczynili to przede wszystkim dlatego, aby zachować w świecie rząd będący wyrazem ich rzeczywistej woli. Zwichnięcie tej intencji musi doprowadzić wszystkich do wniosku, że Rząd Polski na emigracji również nie jest przedstawicielem woli narodowej i trzeba szukać innego rozwiązania, które by doprowadziło do przywrócenia równowagi pomiędzy moralnym, powszechnie wśród nas obowiązującym stanowiskiem a postulatem kontynuowania polskiej reprezentacji politycznej.

Na tym polega niebezpieczeństwo załamania się legalizmu, spowodowane decyzją Prezydenta działającego wbrew woli ogółu polskiego. Niebezpieczeństwo to jest tym większe, im mniej reakcja polska może wyładować się obecnie na drodze rewolucji, która w normalnych warunkach stałaby się nieuchronnym następstwem tego, co ostatnio zaszło.

Życie nie zniesie pustki także i w tej dziedzinie. Prezydent i rząd działający wbrew oczywistej woli społeczeństwa wytwarzają pustkę wokół zagadnienia legalizmu, która będzie się poszerzała i utrwalała tym gwałtowniej, im dłużej stan obecny będzie się przedłużał. W miejsce tej pustki musiałby wejść inny porządek, zgodny nie tylko z aktualną potrzebą polityczną, ale i z moralnym przekonaniem ogółu Polaków, że naczelna reprezentacja i kierownictwo ich walki i akcji muszą pozostawać w zgodzie z ich wolą.

Żadna litera prawa ani żaden formalny przepis nie zdołają zahamować tego naturalnego dążenia zgodnego z moralnymi zasadami człowieka wychowanego w chrześcijańskim duchu poszanowania ludzkiej woli i wiernego zasadzie, że samowola i gwałt stosowane wobec naszego sumienia są sprzeczne z naturą Boskiego porządku na świecie.

To właśnie z ostatniego kryzysu wśród emigracji polskiej stworzyło głęboki konflikt natury moralnej, bodaj najbardziej niebezpieczny wśród innych, raczej wtórnych, konfliktów.

Klaudiusz Hrabyk

DYSKUSJE

MY, ZAUSTRIACZONA EMIGRACJA

Myślę, że od dzisiaj Polacy londyńscy, pochodzący z Małopolski, bez względu na płeć, wyznanie i barwę polityczną będą raz na rok — w dzień imienin cesarza Franciszka Józefa — maszerowali w pochodzie przez Londyn i składali wiązankę kwiatów, przepasaną czarno-żółtymi wstęgami wraz z odpowiednim adresem hołdowniczym w poselstwie austriackim. Bo choć to obecnie republika, ale zawsze co Wideń to Wideń, a my jesteśmy w gruncie rzeczy Austriakami, przesiąkniętymi trupimi miazmatami nieboszczki c. k. monarchii. Uświadomiliśmy to sobie dzięki artykułowi dyskusyjnemu pt. „Austria", zamieszczonemu w nrze 366 ŻYCIA.

Autor artykułu, Jędrzej Giertych, jest wybitnym publicystą, którego siła i bezkompromisowość przekonań muszą budzić podziw i szacunek. Ale ta właśnie niezłomność jego poglądów powoduje niekiedy zajmowanie ciągle bojowej postawy w sprawach, które dawno przeminęły, zacięte kruszenie kopii w sporach, które rzeczywiście zniknęły z powierzchni życia. Do takich przebrzmiałych zagadnień należą np. tzw. orientacje z czasu pierwszej wojny światowej, które mogą interesować, a nawet pasjonować historyka, ale nie powinny już stanowić przedmiotu publicystyki, związanej z chwilą obecną. Ale oto Giertych wystąpił z filipiką w w sprawie może jeszcze bardziej nieaktualnej w świetle współczesności, wskrzeszając dawne spory czy raczej swary międzydzielnicowe „warszawistów" z „galileuszami". Wystąpienie to uważam za równie niesłuszne (zgodnie ze stanowiskiem Redakcji ŻYCIA), co niepotrzebne (wbrew stanowisku Redakcji, która artykuł ogłosiła). Jest to zresztą typowe dla emigracji myślenie dawnymi kategoriami, podziałami i szufladkami, gdy w Kraju wszystko się przeorało, przemieszało, przetasowało i przeobraziło. Po tym, co spotkało Lwów, którego mieszkańców jednych zawleczono na stepy i w tundry azjatyckie, drudzy pozostali na miejscu pod knutem bolszewickim pomieszani z napływowymi Kałmukami, a inni zawędrowali nad Odrę, nikomu dzisiaj w Polsce na pewno nie przychodzi na myśl martwić się „zaustriaczeniem" Lwowian.

Teza Giertycha, by ująć ją krótko, jest następująca: Austro-Węgry, państwo na wskroś skorumpowane, oparte na niemoralności, obłudzie, terrorze, przekupstwo, obojętności religijnej i żydowskich wpływach, spaczyło i zdegenerowało psychikę wielu Polaków galicyjskich („Austriaków języka polskiego"); ci z kolei zaciążyli fatalnie na stosunkach, panujących w dwudziestoleciu niepodległości, a wpływ ich przejawia się złowrogo jeszcze dzisiaj na emigracji. Konkluzja: „uwolnienie życia polskiego od chorób i procesów gnilnych, jakie mu zaszczepił wpływ austriacki, jest jedną z najważniejszych rzeczy, jakie musimy zrobić..."

Okazuje się, że nie zdawaliśmy sobie sprawy z doniosłości zadań, jakie mamy do wykonania na wychodźstwie. Zdawało się nam, że wystarczy walka o odzyskanie niepodległości, uporządkowanie spraw ośrodka dyspozycyjnego polityki polskiej, informowanie Zachodu o niebezpieczeństwie komunistycznym. Tymczasem zapomnieliśmy o najważniejszym: musimy zwalczać wpływ austriacki!

Weźmy najpierw ową opinię o monarchii austro-węgierskiej. Giertych utrzymuje, a powołuje się tu na opinię Romana Dmowskiego, że metody rządzenia tego państwa cechowała w o wiele wyższym stopniu niż Rosję i Prusy, m. in. korupcja i terror; stąd też u prawdziwych Polaków Austria budziła większą nienawiść i wstręt niż obaj inni zaborcy. Wynika z tego logicznie, że korupcja i terror w Austrii były o wiele większe, niż w Rosji carskiej i Prusiech wilhelmińskich.

Zestawiać pod tym względem monarchię naddunajską z państwem Romanowów jest już samo w sobie absurdem. Łapownictwo carskich urzędników, ochrana, prześladowania narodowe i religijne były czymś w konstytucyjnej erze Austro-Węgier zupełnie nieznanym. A Niemcy ówczesne? Zwano je „państwem bojaźni Bożej", nadając ironiczny sens określeniu Wilhelma, gdy znane były nader liczne objawy korupcji i deprawacji w tym państwie. Nie były też chyba antytezą terroru wywłaszczenia. Września, hakata i cały Kulturkampf. Nic dziwnego, że na tak urodzajnym gruncie zakwitł w Rosji bolszewizm, a w Niemczech hitleryzm.

Dzięki Bogu, że zabór austriacki mógł powrócić do wolnej Polski i nikt nie będzie twierdził, że Austro-Węgry były ideałem państwa. Natomiast dzisiaj z pewnej perspektywy historycznej można stwierdzić, że w ostatnich 50 latach swego istnienia było to najbardziej praworządne, kulturalne i wolnościowe państwo Europy środkowo-wschodniej. Horoskop Dmowskiego z okresu pierwszej wojny światowej sprawdził się o tyle, że istotnie po owej wojnie Austria „doczekała się bardzo smutnych dla Kościoła czasów"; tylko że katastrofy tej nie sprowadziła korupcja, terror i wpływy żydowskie, ale ktoś, kto z tymi wpływami miał niewiele wspólnego, niejaki Adolf Hitler.

Owo istne królestwo szatana na ziemi, jakim były Austro-Węgry, zaciążyło — zdaniem Giertycha — złowrogo a przemożnie na psychice polskiej. „Rosja i Prusy nie wywarły razem wzięte nawet w drobnej części tego wpływu na nowoczesne życie polskie, jaki wywarł zaborca austriacki". Doszło do tego, że „niektóre środowiska polskie są w niemniejszym stopniu dalszym ciągiem dawnego życia w byłej monarchii Habsburgów, jak dzisiejsza republika austriacka". A jakież to grzechy i zwyrodnienia odziedziczyli po niej Polacy? Giertych podaje dokładnie ich listę: indyferentyzm i obłuda religijna, mania rozwodów, ochująca w szczególności emigrację naszą w Londynie, dalej frazes patriotyczny, pokrywający karierowiczostwo i brak prawdziwej miłości ojczyzny, wreszcie polityczna korupcja i oportunizm.

Obarczeni tymi „austriackimi grzechami" Małopolanie zdołali je narzucić ogółowi polskiemu, który bezwolnie poddał się terrowi moralnemu (czy niemoralnemu) „złych Galicjan", a zignorował „dobrych Galicjan" (bo byli i tacy).

Mam nadzieję, że żaden „Galicjanin" nie zrewanżuje się Giertychowi, wysuwając równie absurdalne zarzuty pod adresem „Królewiaków", że ich psychika była przesiąknięta rosyjskością. Bo przecież takie przesądy i uprzedzenia grasowały w swoim czasie w Małopolsce, podobnie jak owe, reprezentowane przez Giertycha, pleniły się w Królestwie.

Nie sądzę, by z tymi niepotrzebnie wywołanymi upiorkami przeszłości warto było szczegółowo polemizować. Dobrze jest znany patriotyzm społeczeństwa polskiego w zaborze austriackim, wyrażający się nie tylko w obchodach i manifestacjach narodowych, ale w wielu chlubnych osiągnięciach realnych, by wspomnieć tylko wspaniałą działalność Towarzystwa Szkoły Ludowej. Znane są też niepożyte zasługi Galicji dla kultury ojczystej: jej dwa uniwersytety, będące wspaniałymi ogniskami nauki polskiej, jej czysto polskie (z programu i ducha) szkolnictwo średnie i powszechne, jej przodujące innym dzielnicom teatry Tadeusza Pawlikowskiego czy Kotarbińskiego, jej prasa, z której np. narodowo-demokratyczne „Słowo Polskie" było bodaj najlepszym dziennikiem na ziemiach polskich przed rokiem 1914.

Bohaterska obrona „zaustriaczonego" Lwowa zadała tak samo kłam przesądom o zatracie poczucia narodowego w Galicji, jak walka podziemna i powstanie Warszawy wspaniale zaprzeczyły plotkom o jej lekkomyślnej bezideowości i kazały zamilknąć aluzjom do „czapki Monomacha".

W każdym społeczeństwie są elementy więcej lub mniej patriotyczne, ale wiązać te gorsze z dawnymi wpływami zaborców i czynić to dzisiaj na emigracji po tylu obrotach koła historii, po tylu przemianach i dogłębnych przewrotach — jest chyba absurdem.

Giertych popiera swe sądy obfitymi cytatami z książki Romana Dmowskiego sprzed kilku dziesiątków lat pt. „Polityka polska i odbudowanie państwa". Dmowski był wielkim mężem stanu i wielkim teoretykiem polityki, ale jego pism nie można traktować jako Biblii, której wersety są wyroczniami we wszystkich kwestiach i po wszystkie czasy. Żył w okresie, kiedy pogłębiająca się współpraca Królestwa i Galicji uwydatniała różnice, jakie niewątpliwie między nimi istniały. Będąc w samym centrum ścierających się tendencji, nawyków myślowych i odmiennych metod działania, nie miał po prostu perspektywy, by ogarnąć te rzeczy „au-dessus de la mêlée" i uległ uprzedzeniom, jakie panowały w Królestwie w stosunku do Małopolan. Oburzało go wprawdzie, jak sam stwierdził, „głupie, wstrętne, niepolskie w swym charakterze i bardzo szkodliwe szczucie na Galicjan", ale zarzuty, jakie sam stawiał licznym ich rzeszom, były przecież wynikiem owych uprzedzeń. A — jak się rzekło — analogiczne i krzywdzące uprzedzenia pod adresem Królewiaków zakorzeniły się wtedy nawet u wybitnych jednostek w Małopolsce.

Dzisiaj o tych sprawach można mówić tylko w czasie zaprzeszłym. W dodatku do potępieńczych swarów emigracyjnych wskrzeszać dawno zamilkłe spory międzydzielnicowe jest i szkodliwe i dziwaczne. Nie o wiele mniej dziwaczne, niż gdyby komuś wpadło na myśl wskrzeszać przedrozbiorowy antagonizm między Koroniarzami a Polakami z Litwy.

Odbywszy niezbyt udatną podróż w przeszłość, powróćmy do rzeczywistości.

Ignacy Wieniewski

AUSTRIA I WIEDEŃ

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Ucieszył mnie fakt, że redakcja ŻYCIA potraktowała ostatni artykuł p. J. Giertycha jedynie jako zagajenie dyskusji, nie podzielając zapatrywań autora na członków społeczeństwa polskiego z b. zaboru austriackiego, szkoda natomiast, iż pominęła milczeniem zarzuty w odniesieniu do Austrii i Austriaków. Ponieważ jestem pewien, że znajdzie się dużo osób, bardziej ode mnie wrażliwych na publikowanie osobistych grzechów i błędów i że przysłowie: „uderzyć w stół, nożyce się odezwą", znajdzie tu szerokie pole do zaakcentowania swej wielowiekowej mądrości, zagadnieniem wad polskiego społeczeństwa się nie zajmę, gdyż jestem: „...nie bez grzechu, a sam pełen winy". Interesuje mię skądinąd charakter ostatniej fazy literacko-publicystycznej działalności p. Giertycha, gdyż poza zgorzknieniem, megalomanią i ksenofobią, występuje w jego artykułach coraz mocniej objaw hipochondrii.

Parę tygodni temu otrzymałem broszurę p. G., krytykującą w bardzo niewybredny sposób p. Bieleckiego i jego otoczenie oraz odmawiającą nawet prawa do życia wszystkim odłamom obozu Piłsudczyków. Teraz z kolei atak na Austriaków i Galicjan!

Fundamentem katolicyzmu jest miłość, ujęta nie jedynie jako Eros, ale przede wszystkim jako Agape (zob. „The Mind and Heart of Love" przez C. D. D'Arcy, T.J.), a nazwana w Piśmie Świętym „caritas" (niestety w Polsce uobywatelnił się jedynie wyraz „szarytki"). Niestety, nie mogłem się dopatrzeć w publikacjach p. G. caritasu, natomiast natrafiłem na niesłychanie obfite złoża nienawiści i omal że sam nie zacząłem nienawidzieć ich producenta i hodowcy.

Ograniczę się jedynie do paru technicznych sprostowań w przeświadczeniu, iż znajdą się daleko lepsze ode mnie pióra w obronie arcykatolickiej monarchii. Apologia zresztą jest łatwa, gdyż Austria mimo błędów józefinizmu, mimo Rotszyldów, karykaturalnej biurokracji, socjalizmu itp., dobrze służyła interesom Kościoła (wystarczy przestudiować politykę i działalność Metternicha — oczywiście fachowo i bez uprzedzeń — ks. Seipla, Dolfussa i wielu innych), natomiast Polska od czasów saskich przez wysługiwanie się masonerii Fryderyka II, masonerii francuskiej, a ostatnio angielskiej i amerykańskiej, była i jest dla Stolicy Apostolskiej niemałym kłopotem. Zaznaczyć muszę, że p. G. przytacza z dzieł Dmowskiego tylko te cytaty, które nadają jego tezom pożądany charakter i koloryt, pomija jednak inne bardziej ważne i wartościowe. Z drugiej strony wszelkiego rodzaju uogólnienia są bardzo zawodne i niebezpieczne, gdyż oparte na śliskim gruncie osobistych sympatii i antypatii.

A więc, primo, „The Tablet" nie jest oryginalnym źródłem informacji o rozwodach, przytacza on dane ks. J. Davida z „Lumen Vitae" i z „Sozial Aufbau". Artykuły o Austrii własnego korespondenta „The Tablet" ukazały się w nrach 5936, 5937 i 5938 z dnia 13, 20 i 27 marca br., str. 202, 226 i 248. Gdyby p. G. czytał uważniej i stale „The Tablet", na pewno nie napisałby tak nieścisłego i powierzchownego artykułu.

Secundo, odnośnie rozwodów w Austrii należy zaznaczyć i podkreślić, że narodowy socjalizm pozostawił po sobie nieprzyjemną pamiątkę, a mianowicie uznanie za ważne jedynie ślubów cywilnych, odbytych przed ślubem w kościele. Poza tym wciąż jeszcze obowiązuje zakaz przyznawania zasiłków rządowych szkołom katolickim, jak również daje się fatalnie odczuć brak konkordatu, odrzuconego w swoim czasie przez socjalistów. Bez uwzględnienia i wzięcia pod uwagę tych trzech faktów wszelka dyskusja na temat rozwodów jest gołosłowną i beztreściwą.

Tertio, p. G. usiłuje nie pamiętać, że od czasu rewolucji 1848 r. a nawet wcześniej jeszcze Wiedeń był miastem antykatolickim w następstwie socjalistycznej większości, oraz że w rdzennej Austrii był stały rozdźwięk między ateuszowskim względnie indyferentnym Wiedniem, a katolicką dolną Austrią i Tyrolem. W obecnej chwili różnica się zaciera coraz bardziej, gdyż Wiedeń jest coraz mniej marksistowskim, natomiast prądy antyreligijne zyskały na sile nawet w Tyrolu.

Quarto, nie orientuję się, czy artykuł p. G. miał mieć charakter polityczny, a mianowicie usiłowanie przeciwstawiania się rozwojowi rosnących obecnie tęsknot i sympatii do monarchii Habsburgów, jako conditio sine qua non równowagi politycznej w Środkowej Europie i na Bałkanach. Jeżeli tak, to artykułowi p. G. całkowicie brak podłoża politycznego, a usiłowania podważenia tych tendencji przez oskarżenie o antykatolicyzm są szyte zbyt grupą nitką i zbyt naiwnie, by mogły być przedmiotem poważnej dyskusji. Zarzuty odnośnie ludzi, „którzy nie tylko są w Kościele katolickim ochrzczeni, lecz którzy zgoła z nim nie zerwali i stale o sobie twierdzą, że są katolikami, ale którzy w rzeczywistości są nimi tylko z imienia" mają charakter ogólnoludzki i mogą być równie trafnie dostosowane do ogółu inteligencji polskiej, lecz nie do austriackiej, która przeżywa właśnie obecnie rokujący dobre nadzieje proces odrodzenia moralnego i religijnego.

Quinto, wymieniony powyżej proces odrodzenia nie zaczął się, jak to p. G. twierdzi, od chłopów austriackich i górali tyrolskich, gdyż ci z jednej strony byli i są jeszcze dotychczas praktykującymi katolikami, a jeżeli nie przystępują regularnie do Sakramentów św., to przynajmniej poczuwają się do tradycyjnego chodzenia co niedzielę do kościoła. Z drugiej zaś strony, właśnie wśród nich przejawia się oziębienie i zobojętnienie w stosunku do wiary (czego nie można zaobserwować wśród Niemców sudeckich). Proces odrodzenia zaczął się od góry, od inteligencji (zob. „Die Religiöse Existenz" i „Die Priestliche Existenz" Michała Pfliegera, dzieła Adrienne von Speyr, pisma znakomitego tomisty A. Mitterna, historyka H. Hantscha, wybitnych teologów braci Karola i Hugona Rahnerów z Towarzystwa Jezusowego i wielu innych).

Z dziełami Dmowskiego na płaszczyźnie warunków współczesnego życia dyskutować nie można, mają one obecnie charakter przede wszystkim historyczny, zajmują one jednak nieomal połowę artykułu p. G. Niewątpliwie jest wygodną rzeczą okrywać się płaszczem bezwzględnie wybitnego polityka i publicysty, nie wyklucza to jednak konieczności dokładnej znajomości warunków religijnych, politycznych, gospodarczych i społecznych. Odnoszę wrażenie, że myśl p. G. zatrzymała się na roku Pańskim 1932 - 1939 i poza ten okres wyjść nie może. A szkoda, gdyż bez uwzględnienia nurtu obecnego życia nawet wybitny talent publicystyczno-literacki nie wiele jest wart. Istotnie, można i należy krytykować Austrię i Austriaków, ale należy to czynić ze znajomością przedmiotu, bez uprzedzeń, a głównie z katolickiego, a nie szowinistycznego punktu widzenia. Z drugiej strony w imię chrześcijańskiej miłości pamiętać należy o czci, jaką zwłaszcza obecnie otacza modzież wiedeńska św. Stanisława Kostkę, któremu ostatnio z okazji wizyty ks. Cardijna, twórcy J. O. C., poświęcono specjalny ołtarz.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Jan Helcman

(Pedwell House, Ashcott, nr. Bridgwater, Somerset.)

CZESŁAW STRASZEWICZ

GOŁĄBEK

1.*)

Dnia dwudziestego trzeciego września, na pokładzie rybackiego kutra Polski Ludowej „Orion". Jest mglisto, zimno i burzliwie. Pokład zawalony złowionymi śledziami. Dwaj członkowie załogi, Bolesław Wawrzyniak i Wacław Gołąbek robią na pokładzie porządek.

(Szum fal, postękiwanie pracujących.)

WAWRZYNIAK
Pah, pah, pah! kiwa ścierwo!...

GOŁĄBEK
A kiwa.

WAWRZYNIAK
Te mokre śledzie do rąk przymarzają! Popatrz, Gołąbek, ręce mi ropieją... Żeby tego „Oriona" z jego sieciami i śledziami, nie powiem co!... Podbieraj, Gołąbek, z tego boku... **(odgłosy, po chwili)** Nałowili my dziś tych śledzi z jakie dwie tony. Nie? Zanim je zwalimy do mrozu, sami będziemy, jak mrożone jesiotry. Nie?

GOŁĄBEK
Te, miglanc, nie gadaj, a rób!

WAWRZYNIAK
Ja robię... A ty, Gołąbek, trzeci już rejs na „Orionie" robisz, nie? Jak ciebie dosiedli, że cię tak osiodłali? Ja ciebie nie pytam, ale mnie ciekawi dlaczego?

GOŁĄBEK
Żadna ciekawość... Trzymaj się lewej strony, ja podbieram stąd! Kto mnie miał dosiadać? Ja mam doskonałą opinię. Nawet mnie zdumiewa, że krewny mojej Wandzi może mieć takie głupie chytrości. Jestem małomówny, czy nie?

WAWRZYNIAK
Ja przeczę? Małomówny jesteś, ale ciebie ktoś dobrze podjechał, jeśli ciebie rypnęli z Gdyni na „Oriona"! Nie?

GOŁĄBEK
Wy mnie nie mówcie, Bolcio, że mnie ktoś podjechał. Ja się nie zgadzam. Kto miał mnie podjeżdżać! Ja, proszę was, od pierwszej chwili, kiedy wybuchła demokracja, jestem małomówny.

WAWRZYNIAK
Pah, pah, pah!

GOŁĄBEK
Ja ciebie proszę, Wawrzyniak, nie pah-pahuj!... Jak tylko wybuchła nasza Polska Ludowa, ja wprędce się rozglądnąłem i powiedziałem sobie: jeśli ty naprawdę rodzinę kochasz, ty nie czaruj, ty rób swoje, na boki się nie rozglądaj i przyszczypuj dziób! Dotrzymałem danego słowa honoru ze względu na rodzinę i bardzo nieźle wychodziłem... Te, bierz więcej na łopatę, tylko bez brakoróbstwa, no!...

WAWRZYNIAK
Może nie biorę?

GOŁĄBEK
Co ja wam mówię? Ja mówię, że także samo zagraniczne okręty dawali mnie w porcie gdyńskim pilotować i zarabiałem nawet nieźle. Wandzia była zadowolona też. Ty, mnie, Bolek, nie śmiesz, bo ja sobie zrobiłem opinię na mur!

WAWRZYNIAK
Łapska sobie w tych śledziach poodmrażasz na mur! Pah, pah, pah!

GOŁĄBEK
Bolek, dlatego, że nam zimno, ty ze mnie szydzisz!? Mnie to nie do gustu! Ja jestem małomówny, ale ja tobie coś powiem! Ty, mięto! Gdybyś ty, Bolek, nie był dość bliskim krewnym mojej Wandzi, może ja bym ci jeszcze inaczej powiedział, ale w ten sposób ja tylko powiem tak: ja ci, Bolek, nie zełżę, jeśli powiem, że ja mam opinię nieskazitelną! Możesz wierzyć albo nie! Drap się, gdzie chcesz, ale uważaj! Mnie w Gdyni w Urzędzie Morskim sam of-pol powiedział: Szurajcie tak dalej, a ja wam ręczę, że wyjdzie z was człowiek!... Wobec czego, ja ciebie proszę, pohajże te śledzie, bo my ich do świtu nie wykończym!...

WAWRZYNIAK
Cie, cie!... Wacio przodownik, Wacio śledziowy przodownik, pah, pah, pah! Z nieskazitelną opinią szurnęli Wacia do śledzi! Pah, pah, pah!

GOŁĄBEK
Bolek! Popatrz na mnie! Widzisz jak ja sobie przyszczypuję dziób! Gdybym go nie przyszczypnął, to ja mógłbym się wyrazić wbrew woli. Uważaj, ja się wyrażam: Bójcie się Boga, Wawrzyniak! Czy wy dotąd się nie orientujecie, że w Polsce Ludowej lubią ruch?! Tego lu tu, tego lu tam, taka jest ludowa zasada! Nie ma co mrugać okiem, bo ja nie na śmiech mówię...

WAWRZYNIAK
Kto ci mruga, ja?

GOŁĄBEK
Też ja żadnym okiem nie mrugnąłem, kiedy mnie na „Oriona" żachnęli... Ja tylko zleciłem sobie podwójną czujność i przypomniałem sobie, że mam rodzinę. Mnie nie obchodzi, że mną targają raz tu, raz tam, raz przy sterze, raz przy rybach i ja nie wiem, w jakim miejscu ja mam puchnąć?!... Ty, Bolek, popychaj!!

WAWRZYNIAK
(popychając) Eee... brzdęk!...

GOŁĄBEK
A ja nawet zaofiarowałem się kapitanowi Paciorkowskiemu, że ja bardzo chętnie mogę robić nocne wachty i mogę także robić dzienne wachty i z tego powodu ja jestem niezmiernie uszczęśliwiony. Na to, zauważ, Bolek, kapitan Paciorkowski wykręcił się do mnie tyłem i wyglądał, jakby się ugryzł w język. Ale natomiast drugi obecny, ten nasz Paweł, on mnie z miejsca podrajcował i rzekł mnie pokrzepiająco: „Brawo, Gołąbek! My nie od dziś wiemy, że naszego Gołąbka możemy lekko liczyć na trzysta procent!" Ja tobie, Bolek, daję partyjne słowo, że ja nie łżę. Po co miałbym przed tobą łgać!?

WAWRZYNIAK
(gorączkowo) Łap tego śledzia!... Łap, bo wyskoczy... **(po chwili)** No i popatrz, jak potrafi skakać zdechłe ścierwo! W porządku... Ale kto jest właściwie małomówny: ja czy ty?

GOŁĄBEK
Ja! Bo ja do ciotecznego mojej Wandzi mam prawo mieć zaufanie i mnie jest wolno wynosić rodzinę pod niebiosa. Ale co by mnie innego w życiu nie spotkało, ja mam zawsze gębę zaczepioną na haczyk i nikt ze mnie jednego słowa nie wydębi. Czy ja ci wyrzekam? Czy ja ci co lekce powiedziałem? Ja mam tę życiową zasadę, że ja nie na byle jakie przodownictwo z uśmiechem się zgłaszam, byle jakiego zebrania nie omijam, no i ja w krytycznych momentach, ja umiem przyszczypnąć dziób! I ja tak myślę **(głos cichnie)**, że z tymi śledziami w końcu moje będzie na wierzchu, ponieważ jest sprawiedliwość...

WAWRZYNIAK
(z bardzo daleka) Pah, pah, pah!

2.

Na tym samym „Orionie", w trzy dni później, dwudziestego szóstego września, na Morzu Północnym. Jest noc. Marynarz Gołąbek stoi przy sterze i kręci kołem. Zbliża się do niego po cichu (kroki po schodkach, szum fal, skrzyp koła sterowego) ten sam marynarz Bolesław Wawrzyniak.

WAWRZYNIAK
Wacio? **(fale morskie)** Gołąbek?! Te, to ja... Jak tam stoi? **(skrzyp koła sterowego)** Dokąd ty tak sterujesz i sterujesz?... Może rzekniesz mnie słówko, gdzie ty nas wieziesz i nic nie mówisz?!... Gdzie my jesteśmy? **(chwila ciszy, skrzyp koła sterowego, szum fal)** Anglię już chyba widać?... **(te same odgłosy)** Wacek, czy abyś się mnie słowem odwzajemnił, ja mam ciebie ciachnąć?! Chcesz? Ja mogę! Gadaj, jak ja do ciebie po ludzku. Ja chcę wiedzieć, gdzie ja się znajduję; ja nie lubię w ciemności brodzić... Gadaj do słuchu, ja ciebie proszę... **(te same odgłosy)** Nie gadasz, jak ja ciebie proszę?! W porządku! Ja twoje informacje plombuję na gips! W porządku! Możesz się wypchać, bracie! W porządku! Niech się Wandzia martwi, że ma męża sztokfisza...

GOŁĄBEK
Odsuń, Bolek, Wandzię na stronę! Ty idź, gdzie potrzeba i po nocy nie zagaduj. Ja tobie radzę, idź stąd! I ja tobie radzę, trzymaj gębę na haczyk! Nie drzyj mi się tu i złaź mnie wom! Wyłaź stąd, Bolek, ja ci szczerze radzę. I nie sztokfiszuj mnie!

WAWRZYNIAK
Pap, pah, pah, Wacek niemowa puścił parę, puścił parę, puścił parę...

GOŁĄBEK
(cicho z przejęciem) Złaź stąd! Po co się mamy jutro tłumaczyć? Paweł nie śpi i Ogórka dawno nie widziałem! Wyrywaj stąd!

WAWRZYNIAK
Pah, pah, pah!

GOŁĄBEK
(cicho z prośbą) Wyrywaj stąd, ja ciebie proszę. Po co nam to? **(gorączkowo, szybko)** Jesteśmy o sto mil od Bornholmu. Masz coś chciał. I wynocha stąd, po raz ostatni ja cieble wzywam!

WAWRZYNIAK
Wacek niemowa parę puścił, parę puścił, parę puścił, pah, pah, pah! **(Głos cichnie)** Pah, pah, pah!

(Szum fal, kroki odchodzącego i skrzyp steru)

GOŁĄBEK
(z namysłem do siebie) Dlaczego sztokfisz?

3.

Na „Orionie", następnego dnia wczesnym rankiem dwudziestego siódmego września. W ciasnym korytarzyku marynarz Gołąbek, rozglądając się na boki, nagabuje politycznego Pawła:

GOŁĄBEK
(tajemniczo, szeptem) Obywatelu!? O godzinie pierwszej w nocy on wdepnął do mnie do sterówki, kiedy ja byłem przy kole...

PAWEŁ
Kto wam wdepnął, Gołąbek?

GOŁĄBEK
(tak samo szeptem) On, Wawrzyniak! On jest jakiś krewniak mojej żony, ale to nie ma żadnego znaczenia. On mnie absolutnie nie przemówił do przekonania, kiedy mnie on zaczął macać...

PAWEŁ
Macał was?

GOŁĄBEK
Macał. On mnie zaczął macać na temat informacji nawigacyjnych, ponieważ to nie leży w moim resorcie. Więc kiedy ten Bolesław zaczął szperać...

PAWEŁ
Wyjęzyczcie się bystrzej, Gołąbek. Co on w was szperał?

GOŁĄBEK
On we mnie szperał, gdzie my jesteśmy. Mnie żadna władza nie upoważniła się po nocy z nim zabawiać, więc ja chciałem się jego jak najszybciej pozbyć...

PAWEŁ
Na korytarzu czas pili... Ja was proszę, streszczajcie się, Gołąbek!

GOŁĄBEK
Ja się streszczam. Ja, żeby go się pozbyć, poinformowałem go, że jesteśmy o sto mil od Bornholmu, ale ja jemu zełgałem, ponieważ w nocy byliśmy akurat o sto mil od Kilu! To właśnie miałem towarzyszowi Pawłowi do streszczenia, żeby być na boku kryty...

PAWEŁ
(przyjacielsko) Wiecie za co ja was klepię? **(słychać klepanie)** Ja was klepię za czujność. Mału pomału, Gołąbek, a wyjdzie z was człowiek. Możecie zmiatać. Tylko mnie nie sądźcie, że ta wasza opowiastka ma jakieś głębsze znaczenie. Wawrzyniak jest fajny chłop. Dziękuję wam jednakowoż i zmiatajcie, Gołąbek!

GOŁĄBEK
(z radością) Fajny chłop? Serdecznie się cieszę. On pochodzi ze strony żony i ja nie miałem najmniejszego zamiaru go sypnąć! Boga na świadka biorę, że ja nie pragnę, żeby ten Bolek miał jakiekolwiek nieprzyjemności, tylko ja nie mogię pozwolić, żeby on we mnie nos wtykał i ja przez niego miał nieprzyjemności. **(głos cichnie)** On mnie tak samo powiedział, że ja jestem sztokfisz, ale mnie to tyle obeszło co ten śnieg... **(Szum fal, odgłosy morskie).**

4.

Na „Orionie" tego samego dnia, po południu. Marynarz Gołąbek po ciężkiej służbie spoczywa na koi w kubryku i chrapie.

(Chrapanie Gołąbka — drobne kroczki i dziecinny głos chłopca okrętowego)

CHŁOPIEC
Panie Gołąbek! Zwyzrywaaajcie się na nogi! Szyper was wzywa i ma być galopem! Wstawajcie w tri miga i gaaazu!...

GOŁĄBEK
(chrapnąwszy ostatni raz) Nie drzyj się, szczylu... No lecę, lecę...

(Słychac kroki naprzód w kabinach, potem na pokładzie, szum fal, zatrzaśnięcie jednych drzwi, potem drugich. W czasie tego przemarszu słychać mamrotanie Gołąbka)

GOŁĄBEK
Męczą mnie... Nawet po nocnej wachcie spokoju nie dają... Kiwa jeszcze gorzej niż Bolek mówił...

(Zatrzaśnięcie ostatnich drzwi)

KAPITAN
(miękkim głosem) Jak się macie, Gołąbek?

GOŁĄBEK
Cześć, panie kapitanie!

KAPITAN
Cześć. Przysiądźcie sobie. Ja tu pozwoliłem sobie poderwać was na nogi z powodu, że przyszła z Gdyni depesza w waszej sprawie...

GOŁĄBEK
(przerywając) Jak słyszę? W czyjej sprawie?

KAPITAN
W waszej sprawie. Wy, Gołąbek, przesiądziecie się na morzu z „Oriona" na „Morską Wolę" i w ten sposób za trzy dni będziecie z powrotem w Gdyni. Rozumiecie? My was stąd przesadzimy na „Morską Wolę" i wy galopem będziecie do rozporządzenia. Spakujcie swoje manatki, Gołąbek, bo mam nadzieję, że gdzieś pod wieczór zaczniecie się przesiadać.

GOŁĄBEK
(zdumiony) Że co niby jest?

KAPITAN
Ty jemu lepiej wytłumacz, Paweł...

PAWEŁ
Co ma być, Gołąbek? Wy musicie być widać jakaś ważna bomba, bo trzeba wam wiedzieć, że kapitan Paciorkowski specjalnie dla was zmienił kurs, żeby was jak najszybciej przesadzić. W ten sposób przesadzimy was gładko na „Morską Wolę", no i popłyniecie sobie, Gołąbek, do Gdyni. Ja na waszym miejscu skakałbym do góry...

KAPITAN
Było nie było, Gołąbek, idźcie zebrać manatki i miejcie się w pogotowiu. Sztorm jest i mgła, ale może jednak pod wieczór uda się mnie was przesadzić. No idźcie. Ja wam jeszcze dam znać. Idźcie się zbierać, Gołąbek!

GOŁĄBEK
(z wybuchem rozpaczy) Matko Boska, Jezusie Jaśniusieńki, co ja złego zrobiłem?

PAWEŁ
(surowo) Coście złego albo dobrego zrobili, to wasza rzecz. Sami siebie zbadajcie. Nie najmłodsi jesteście i powinniście wiedzieć, że w Polsce żadnemu niewiniątku włos z głowy nie spadnie! Zrozumiał, Gołąbek?!

GOŁĄBEK
Telegram w mojej sprawie?!... Mnie na „Morską Wolę"! Mnie do Gdyni!... W jakiej sprawie, ja się obywateli z płaczem pytam?!

PAWEŁ
(niecierpliwie) Czego wy się nas czepiacie? Nie biadolcie, bo może jeszcze nie macie czego!... No, Gołąbek, Gołąbek, idźcie już i spokojnie spakujcie manatki...

GOŁĄBEK
(z rozpaczą) Co ja złego zrobiłem? Ja nic złego nie zrobiłem! Komu ja się mogłem narazić!! Kto mnie wrobił!? Dlaczego nagle chcą mnie się pozbyć?!... Co ja złego zrobiłem? **(głos cichnie)** Ja nic złego nie zrobiłem!... Ja gębę zawsze trzymałem na haczyk! Ja... **(odgłosy sztormu przez chwil kilka)**

5.

W pół godziny później na „Orionie", w kubryku, marynarz Wacław Gołąbek pakuje manatki, a nad nim kiwa głową kuzyn żony Wandy, marynarz Bolesław Wawrzyniak.

WAWRZYNIAK
Weź kolanem, Wacuś, i dociśnij jeszcze tego troczka...

GOŁĄBEK
(pakując manatki) Co ja złego zrobiłem? Ja nic złego nie zrobiłem! Ja oczy wytrzeszczam i nic nie widzę! Ja się w myślach kajam i co ja widzę? Ja widzę, że ze względu na rodzinę ja stale miałem zapał! I ja nigdy nic nie mówiłem! Wszystkie majowe, lipcowe i październikowe ja mam w czystym sumieniu! Co ja złego zrobiłem?!...

WAWRZYNIAK
Wyłącz się na momencik, Wacuś... Podciśnij jeszcze kolanem, bo ci gacie z manatka wyskakują... W porządku... A możeście się wy kiedy, obywatelu, uchlali i teraz dla was jasne jak słońce, że nie wiecie o co chodzi?...

GOŁĄBEK
Owszem. Ja się raz uchlałem po chrzcinach i nie wykluczone, że warknąłem, ale to było cztery lata temu. Co ja więcej zrobiłem? Za co ja mam napluć sobie w twarz? Dlaczego ja los rodziny zakatrupiłem? Ja zawsze dziób trzymałem na haczyk! Warty pokoju ja odbębniałem, jak ten wół! Wandzię też raz publicznie zgromiłem, kiedy kretykowała, za co mnie pochwalono. Dlaczego mnie teraz okręt ściga?...

WAWRZYNIAK
Było nie było, Wacek, raz kozie śmierć!

GOŁĄBEK
Dlaczego śmierć?... Jezu, Panie Boże, co ja złego zrobiłem?... Owszem!... Ja raz się niepotrzebnie wyraziłem, ale to było tak: Ja siedziałem za swoją potrzebą, a on stał za drzwiami, ale ja nie wiedziałem...

WAWRZYNIAK
Kto stał?

GOŁĄBEK
Stał ten partyjny, Graj, który wkrótce potem pomarł. Ja siedziałem za swoją potrzebą, a on zaczął się dobijać, ale ja nie wiedziałem, że to on, więc mu odszczeknąłem, że ja przy własnej potrzebie nie jestem stachanowiec! On natychmiast się obraził i sobie poszedł. Ale w jakieś pół roku później on wykitował. Ja się męczę z myślami, ale ja nie mniemam, żeby to był Graj...

WAWRZYNIAK
Znowu się tak nie martwcie, Wacek, bo może jeszcze nie ma co. Ja nie powiem pah, pah, pah, ale mnie przychodzi na myśl, że ta telegramka wspomina o przeniesieniu, ale nic nie mówi o prześladowaniu. Gdyby miało być prześladowanie, to z punktu by ci, Wacuś, nałożyli kajdanki...

GOŁĄBEK
Jezu, mnie? A za co? Co ja złego zrobiłem? Ja nic złego nie zrobiłem! O Jezu, dlaczego kajdanki?... **(słychać kroki)** Ja nic nie zrobiłem...

WAWRZYNIAK
Wacek! Pan kapitan!... Czołem, panie kapitanie!

KAPITAN
Serwus, chłopaki! Widzę, że Gołąbek spakowany. Fajno! Wawrzyniak, weźcie te bambetle Gołąbka i wynieście na pokład. **(szmery)**

WAWRZYNIAK
Czemu nie, czemu nie, ja na to jak na lato!... **(odchodzące kroki)**

KAPITAN
Gołąbek, wy tego za gorąco do serca nie bierzcie. Ja was rozumiem. Wy wiecie, na kim, jak na kim, ale wy możecie polegać na mnie. Ja wam obiecuję, że waszej żonie nie stanie się żadna krzywda. Możecie stawiać na mnie. A zatem, Gołąbek, nie mazgajcie się, pal sześć, marynarz jesteście, czy pętak?

GOŁĄBEK
(płaczliwie) Ja bardzo serdecznie panu kapitanowi Paciorkowskiemu dziękuję za pociechę, ale ja panu kapitanowi na klęczkach wyznaję, że ja nic złego nie zrobiłem i ja tylko trykam swoim głupim łbem, ja trykam i trykam, żeby nareszcie wiedzieć, skąd powstała ta o mnie dzika heca... Ja trykam i trykam, ale mnie niewiele wychodzi, ja wciąż głupi jestem, jak ten baran... **(zbliżające się kroki)**

KAPITAN
Macie szczęście, Gołąbek, nasz polityczny przyszedł was w tym względzie oświecić. Serwus, Paweł... Wątpię, czy w tym sztormie da was się jeszcze dzisiaj przesadzić, Gołąbek. Depeszowałem do Gdyni i czekam odpowiedzi. Nie traćcie szwungu... No, bierz swego Gołąbka, Paweł!

PAWEŁ
Wdepnij później do mnie do kabiny, Pacior! Serwus! **(słychać oddalające się kroki kapitana)** No, i co u was w trawie piszczy, Gołąbek!

GOŁĄBEK
Ja tym swoim głupim łbem trykam i trykam i mnie ani rusz...

PAWEŁ
(przerywając) Faja do góry, Gołąbek! Ja tu z rozmysłem do was wdepłem, żeby wam dodać trochę fajru. Wy może mniemacie, że to ja was wtrajdoliłem, albo że ja wam podwaliłem grubszą świnię! Nic podobnego, Gołąbek! Ja wam daję partyjne słowo, że u mnie z sabotażem ani ze szpiegostwem nie mieliście nic wspólnego. Co było przed tym, sami rozumiecie, ja muszę być zmuszony umyć ręce, ponieważ ja nie jestem jasnowidzący...

GOŁĄBEK
(drżącym głosem) Jeśli ja dobrze chwyciłem, to ja mam najlepiej się wziąć... o Jezu Najmiłosierniejszy!... to ja mam się wziąć i powiesić?!...

PAWEŁ
(ostro) Kto tak gada? Partyjniak? Marynarz? Po co ja do was zaszłem do kubryku? Ja do was zaszłem, Gołąbek, żeby was nastawić pozytywnie. Ja was chcę widzieć z fają do góry! Dlatego wam mówię: wy o swoją żonę nie potrzebujecie się martwić, bo ja wam daję partyjne słowo, że w razie wypadku zajmie się nią samopomoc...

GOŁĄBEK
Jezusie Nazareński, co ja złego zrobiłem?! Ja nic nie zrobiłem! Ja zawsze dziób trzymałem na haczyk! Czemu mnie pragniecie rozgromić!? Ja nic złego nie zrobiłem!...

PAWEŁ
Czt, czt, czt!... Faja do góry! **(głos cichnie)** Czt, czt, czt — czt, czt, czt...

(Odgłosy sztormowe)

6.

W pół godziny później na pokładzie ORIONA, w czasie sztormu. Marynarz Gołąbek stoi czujnie przy swoich bambetlach. Zbliżają się do niego kolejno pocieszyciele: kuzyn Wawrzyniak, kapitan Paciorkowski i polityczny Paweł.

WAWRZYNIAK
Pah, pah, pah, strasznie kiwa, ale nic się nie martw, Wacek. Pojedziesz sobie nazad do Gdyni, odsapniesz, zaśpiewasz „Kiedy ranne wstają zorze" i pah, pah, pah! Nie ty pierwszy i nie ostatni. O Wandzię się nie martw, bo ja ci świątecznie gwarantuję, że ja się nią zajmę...

GOŁĄBEK
(mrucząc do siebie) Co ja takiego narobiłem?... Komu ja mogłem narobić?... Ja nic nie narobiłem...

WAWRZYNIAK
Kiedy ja patrzę na ciebie, Wacek, to mną olbrzymia litość targa — i po co ty Wacek przeciążałeś sobie gipsem portki!? Z gipsem, czy bez gipsu pah, pah, pah! Żegnaj, na wieki, bracie, i zauważ, jak dzisiaj fatalnie kiwa. No, Wacuchna, pah, pah, pah!

(odgłosy sztormowe, wśród których:)

GOŁĄBEK
... Gdzie ja narobiłem?!... Kto pode mnie podjechał?!... Dlaczego ja tak fatalnie wdepłem?... **(podwójne kroki)**

KAPITAN
Czuwacie, Gołąbek? No to fajno! Spójrzcie na horyzont, tam na lewo. Widzicie światła „Morskiej Woli"? Tam, tam... Bardziej na lewo... Fajno! Otóż ja wam chcę powiedzieć, że ja was dzisiaj na „Morską Wolę" nie dam...

GOŁĄBEK
(radośnie) Obywatelu kapitanie złocisty, ażeby panu Pan Bóg dał...

KAPITAN
(przerywając) Ty jemu lepiej wytłumacz, Paweł, w czym sęk.

PAWEŁ
Gołąbek! Tu obecny obywatel kapitan Paciorkowski pofatygował się wam powiedzieć, że nie chce waszej zguby. Rozumiecie? Dlatego kapitan Paciorkowski, widząc jaki jest sztorm, specjalnie zadepeszował do Gdyni, żeby im wytłumaczyć, że bez ryzyka waszego życia, to jest dziś niemożliwe...

GOŁĄBEK
(radośnie) Ja ogromnie dziękuję... Ja za to dobrodziejstwo stanę panu kapitanowi na warcie pokoju i będę stojał tak długo dopóki mnie pan kapitan nie zawoła! Tak samo wszystkie czyny ja dobrowolnie...

KAPITAN
Wytłumacz że mu do licha, Paweł!...

PAWEŁ
Gołąbek, ja wam jasno tłumaczę! Skupcie się! Kapitan Paciorkowski nie chcąc żeby was spotkała jaka przykrość, pomyślał sobie, że po co wy się macie w tym sztormie topić. Więc on z życzliwości dla was zadepeszował do Gdyni i Gdynia odpowiedziała, żeby wobec powyższego płynąć z wami do brzegów Anglii i tam was przesadzić na „Pingwina".

GOŁĄBEK
Co proszę?...

PAWEŁ
„Pingwin" jest już specjalnie dla was zarezerwowany. Ten „Pingwin" w lepszym czasie dopłynie z wami do „Morskiej Woli" i wówczas już bez trudu się przesiądziecie. Jak raz wstąpicie na „Pingwina", to tak jakbyście już byli w Gdyni. Rozumiecie, Gołąbek?

KAPITAN
Nie przejmujcie się zwłoką, Gołąbek, bo tu już o wasze dobro chodzi...

GOŁĄBEK
(z rozpaczą) Co ja złego zrobiłem? Ja nic nie zrobiłem! Dlaczego wy mnie nie katrupicie od razu? Po co wy mnie rozkładacie na raty?! Co ja takiego najgorszego zrobiłem?!...

KAPITAN
Bójcie się Boga, Gołąbek, co wam na mózg padło?!...

PAWEŁ
Gołąbek, ja was jeszcze raz proszę, faja do góry. Weźcie sobie na rozum i pomyślcie, że w ten sposób grubo przed nami będziecie mogli w Gdyni uścisnąć waszą żonę...

GOŁĄBEK
Co się dzieje? Dlaczego na mój temat taka manifestacja?! Dlaczego dla mojej żony polskie okręty smyrgają wokół mnie tam i nazad?! Co ja takiego powiedziałem?! Ja nic nie powiedziałem! Mnie formalnie potwierdzono, że ze mnie wyjdzie człowiek. Jezu Jaśniusieńki, co ja złego zrobiłem?!...

KAPITAN
(niecierpliwie) Ja już widzę, Gołąbek, że z was dzisiaj nic nie będzie. Idźcie spać. Wy sobie, Gołąbek, przewrażliwiliście nerwy. Dopóki ja was nie wsadzę na „Pingwina", ja was zwalniam ze służby. Możecie sobie okrągłą dobę leżeć brzuchem do góry. Cześć!

PAWEŁ
Słyszeliście, Gołąbek? Brzuchem do góry! Skutkiem czego cześć! **(kroki odchodzące)**

GOŁĄBEK
Ojcze nasz, który jesteś w niebie **(głos cichnie)** i odpuść nam nasze winy...

(Odgłosy morskie, naprzód sztormu, a później coraz łagodniejsze.)

(Dokończenie w nrze następnym)

*) **Słuchowisko, nadane przez Radio Wolnej Europy w dniu 17 lipca 1954 r.**

WACŁAW IWANIUK

Z wierszy współczesnych

1

Oto moja Ryba, świecąca jak znicz,
oto moja sieć — boleść.
Palcem wodzę i zmarszczki liczę,
po strapionym myślami czole.
Jak nad brzegiem rzeki wyschniętej,
jak u warg spalonej kałuży,
palce wiatrów, rąk niepojętych,
z kształtu Ryby, z wyobraźni wróżą.

2

Epoko białych gołębi, nad którą się krząta,
pająk wiecznie łakomy pracy.
Wizerunku pieśni mojej,
na dłoni twojej,
leżą krwawiące obole,
które nigdy szczęścia nie zobaczą.

Ile w tobie rzewności drga,
ile w tobie kolorów się pieni!
A my, jak grzesznicy w ciemności zgubieni,
sięgamy rozpaczy dna,
naszych żalów — naszego zła.

Wacław Iwaniuk

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 18 lipca 1954.

NASZE SPRAWY

POCHWAŁA PARAFIAŃSZCZYZNY

Że wrogowie religii i Kościoła atakują religię i Kościół, to rzecz normalna. Ale istnieje również i pewna kategoria katolików, która kręci nosem na większą część tego wszystkiego, co się na życie Kościoła składa, bo jest — wyższa ponad to. Mamy na emigracji tych pięknoduchów więcej niżby się zdawało.

„Jestem katolikiem. Ale przecież nie mogę się zgodzić z tym wszystkim, co robią pobożne kumoszki. Ta cała parafiańszczyzna budzi we mnie wstręt i przez swój poziom napełnia mnie wstydem." Iluż ludzi tak myślących spotykamy codziennie w życiu! Pomijam już to, ile w tym sposobie myślenia jest zwyczajnej ignorancji: pamiętam pewnego pięknoducha, jak łamał ręce na wiadomość, że ktoś ma wygłosić odczyt o Świętym Całunie z Turynu. „Niech pan sobie pomyśli! O Świętym Całunie z Turynu! I takich odczytów mają słuchać ludzie wykształceni! Cóż za poziom! Cóż za parafianszczyzna!" Pięknoduch, naturalnie, nigdy o Świętym Całunie z Turynu nie słyszał i nie wie, że jest on od szeregu lat przedmiotem dociekań i dyskusji świata naukowego. Dla pięknoducha, tak samo jak dla dziecka, trzeba układać tytuły odczytów z uwzględnieniem jego psychologii. „Śmierć Chrystusa Pana w świetle najnowszych dociekań nauki medycyny sądowej" albo „w świetle ekspertyzy medyko-fotograficznej", to by strawił względnie łatwo. Ale po prostu: „Święty Całun z Turynu"?

Pięknoduch jest bardzo często ignorantem w rzeczach wiary i Kościoła. Ale będąc ignorantem lub nie będąc, jest on — i to rzecz dużo gorsza — człowiekiem zawianym wpływem modernizmu i w ogóle wszelkimi prądami postępowymi. On jest, owszem, katolikiem, ale — tak jakoś — wolałby być tym katolikiem jakby poza ramami Kościoła. Mierzi go parafiańszczyzna, mierzi go życie parafialne i mierzi go — parafia.

Otóż nie lekceważmy — parafii i jej życia.

Nie każdy katolik jest w stanie czytać dzieła Maritaina. (A propos, pięknoduchu: przyznaj się, czy naprawdę te dzieła czytujesz?). Z pewnością nie czyta ich przeciętny polski chłop, i przeciętna polska pani aptekarzowa, i przeciętny polski wiejski proboszcz. Ale czy to znaczy, że nie jest dobrym katolikiem? I że nie ma ładu w głowie? I że nie ma zdrowej filozofii? Filozofii, dostosowanej do swojego poziomu wykształcenia, ale opartej na rozumnych podstawach, nabytej pracą i wysiłkiem myślowym?

Pięknoduchy chwytają w lot wszystkie nowinki, wciąż filozofują i dyskutują po kawiarniach, salonach i czasopismach. Wychodzi z tego nieraz pożytek, wychodzi z tego częściej moc bezpłodnej sieczki, wychodzi z tego niekiedy wykolejenie i herezja. Gdy się uważnie przypatrzymy katolikom reżymowym w Polsce, to zobaczymy, że składają się oni z dwóch gatunków ludzi: z łajdaków i z pięknoduchów. Zwyczajna, prosta, zdrowa parafiańszczyzna jest od pięknoduchów jakoś dużo odporniejsza.

Pomyślmy tylko, ile siły i ile — w gruncie rzeczy — mądrości jest w owej parafiańszczyźnie! Wydarzenia płyną; filozofie przychodzą i mijają — a ona żyje i trwa. Pięknoduchy nie troszczą się o chłopa, a panią aptekarzową i o wiejskiego proboszcza, a jednak dzięki nim życie Kościoła wychodzi zwycięsko ze wszystkich kryzysów. Oni są dla Kościoła tym mocnym, solidnym a szarym, mało rzucającym się w oczy oparciem, takim, jakim dla walczącej armii jest piechota.

W czasach, gdy świat pasjonował się filozofią Rousseau'a, i Kantem, i Darwinem, i Augustem Comte'm, i Marksem, profesorowie w seminariach duchownych w Sandomierzu, w Przemyślu, czy w Pelplinie, a także w Armagh w Irlandii, czy w Manili na Filipinach, uczyli swych zacofanych uczniów, uczyli... proszę się nie zgorszyć... filozofii... scholastycznej!!! Cóż za obskurantyzm!

Było to w czasach, gdy Victor Cousin w Paryżu, kupiwszy u antykwariusza nad Sekwaną dzieła jakiegoś średniowiecznego mnicha, „niejakiego Akwinaty", dziwił się, że „nie brak im ani oryginalności, ani głębi". Ileż się rzeczy od tego czasu zmieniło! Nikt już dziś — nawet nikt już wśród pięknoduchów — nie używa słowa „zacofanie" w odniesieniu do największego filozofa scholastycznego, świętego Tomasza z Akwinu. O ileż więcej katedr jest dziś na czołowych uniwersytetach świata poświęconych jego filozofii, niż filozofii Rousseau, Comte'a, czy Kanta! Parafiańszczyzna nie była jak się okazuje taka głupia, jeśli mu była wierna też i wtedy, gdy nie był on wśród ówczesnych pięknoduchów w modzie.

Aleksander Brückner rozdzierał ongiś szaty, że w osiemnastym wieku parafiańszczyzna zalewała Polskę powodzią tłumaczeń „co raz potworniejszych ascetyków", takich jak Reguła św. Franciszka z Asyżu i dzieła św. Franciszka Salezego. Proszę dziś sprawdzić w pierwszej lepszej angielskiej księgarni, jakim powodzeniem cieszą się dziś właśnie te same książki wśród angielskiej intelektualnej elity... Widać i nasza parafiańszczyzna nie była taka głupia.

Dzięki chłopu, dzięki pani aptekarzowej, dzięki wiejskiemu proboszczowi, dzięki profesorowi w seminarium w Sandomierzu, dzięki także tłumaczom i wydawcom „Kwiatków świętego Franciszka" i dzieł świętej Teresy, Kościół w Polsce przetrwał zwycięsko i „filozofię" epoki stanisławowskiej, i fale rewolucji francuskiej, które przyszły do nas wraz z Napoleonem (o czym tak interesujące szczegóły podał nam ks. Cynar w swej świeżo wydanej przez „Veritas" książce o prymasie Raczyńskim) i epokę pozytywizmu i epokę socjalizmu. Dzięki nim również, katolicka Polska przetrwa i rządy komunistyczne.

Toteż nie lekceważmy parafiańszczyzny. Nie lekceważmy jej i na emigracji.

To, co jest treścią życia parafialnego — jest także i treścią życia Kościoła. Nabożeństwa, chóry kościelne, składki parafialne, lekcje katechizmu, szkółki sobotnie, rekolekcje, sodalicje, różańce, książeczki do nabożeństwa — wszystko to jest o wiele, o wiele ważniejsze od tego wszystkiego, czym się pasjonują pięknoduchy.

POLONUS

PIERWSZA ROCZNICA UWIĘZIENIA PRYMASA POLSK

Wzywamy gorąco do skupienia się we wspólnych modłach publicznych i ofiarowania Komunii św. w intencji prześladowanego Kościoła i Polski — w niedzielę 26 września Roku Maryjnego, jako w pierwszą bolesną rocznicę uwięzienia Prymasa Polski.

Wzywamy zawczasu do zachęcenia gospodarzy kraju naszego uchodźstwa i spowodowania w tym dniu z ich strony wspólnych modłów publicznych, aby łącząc swoje modlitwy o wolność Kościoła i krajów cierpiących prześladowanie, przypominali światu o trwającym stanie bezprawia i gwałtu.

INSTYTUT POLSKI AKCJI KATOLICKIEJ W W. BRYTANII

Lipiec — miesiąc dziecka

Jednym z czołowych zagadnień na uchodźstwie jest zachowanie dzieci naszych w polskości.

Zagadnienie to podjęło w 1946 roku Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Młodzieży. Dziś stało się powszechną troską wszystkich organizacji społecznych w różnych krajach, zamieszkanych przez Polaków.

Środki, przy pomocy których utrzymuje się dzieci w polskości, to: kursy sobotnie przedmiotów ojczystych, obchody narodowe i uroczystości religijne, kolonie letnie, obozy harcerskie, przedszkola i żłóbki polskie, lekcje tańców narodowych i ludowych.

Niektóre z tych działów prowadzone są przez organizacje polskie społeczne dorywczo. Są jednak zagadnienia, które wymagają nie tylko stałej systematycznej pracy, lecz i środków finansowych.

Tow. Przyjaciół Dzieci i Młodzieży pracując na terenie Wielkiej Brytanii już od 8 lat, za główny cel wzięło sobie opiekę nad dziećmi i młodzieżą.

W pierwszych latach działalności, przy wydatnej pomocy żołnierzy polskich, Towarzystwo mogło z zebranych funduszów w lipcu, poświęconym dziecku polskiemu zakupić dom na bursę dla chłopców-sierot. Od 1948 r. do chwili obecnej przeszło przez ten Dom ponad 200 chłopców, którzy zdobyli fach, mogli się usamodzielnić, zdobywając lepsze warunki bytu.

W 1949 r. dzięki prawie stałej pomocy Polonii ze Stanów Zjednoczonych Am. Półn. a szczególnie w Detroit, mogło Towarzystwo w wynajętym domu przez 5 lat prowadzić bursę dla dziewcząt, z której wyszło około 100 wychowanek; prowadzi również przedszkole dla 24 dzieci i utrzymuje żłóbek dla małych dzieci oraz kursy sobotnie przedmiotów ojczystych i lekcje tańców ludowych.

Niezależnie od tych prac, znajdując poparcie Komitetu Oświaty w Wielkiej Brytanii, Towarzystwo urządzało kolonie letnie w budynkach szkolnych, z których skorzystało przeszło 400 dzieci w ciągu 4 lat.

W roku bieżącym sytuacja zmieniła się, ponieważ Towarzystwo nie mając funduszów na kupno domu-bursy żeńskiej (£ 10 000) musi przenieść dwie swoje placówki do własnego domu-bursy męskiej. Żłóbek zaś, który od paru lat staje się koniecznym dla wielu matek, często samotnych, Towarzystwo postanowiło przenieść na prowincję.

I tu znów dzięki pomocy organizacji polonijnych w Stanach Zjednocz. Towarzystwo zakupiło dom w Heathfield, Sussex, w którym będą mieszkać małe dzieci oraz od przyszłego roku urządzane będą kolonie letnie na własnym terenie.

W normalnych warunkach w Kraju, przy takiej akcji zawsze można było liczyć na pomoc państwową lub samorządową. Tu na emigracji zdani jesteśmy wyłącznie na własne siły, to jest na **ofiarność całego społeczeństwa polskiego.**

Wierzymy, że jak do tej pory społeczeństwo popierało akcję Towarzystwa, tak i w tym trudnym okresie dopomonam wydatniej.

Towarzystwo apeluje do wszystkich o poparcie finansowe, o kupno cegiełek na Dom Dziecka i o wszelką pomoc w naturze.

A więc poprzyjmy akcję Miesiąca Dziecka!

Za zarząd T. P. D. M.

Melania Arciszewska
prezes

Cegiełki w cenie: 1/-, 2/6, 5/-, 10/- i £ 1, można nabywać w biurze Towarzystwa przy 50 Nightingale Lane, Clapham South, London, S.W.12. Tel. BAT 4120.

DZIESIĘCIOLECIE WALK 1. DYWIZJI PANCERNEJ

W chwili gdy wybuchło powstanie warszawskie, do akcji na froncie zachodnim na wybrzeżu Normandii wchodziła polska 1. Dywizja Pancerna, której miało być danym wejść jako jedynej jednostce polskich sił zbrojnych zwycięsko na ziemię nieprzyjaciela w drugiej wojnie światowej.

W bitwie o Francję Dywizja Pancerna odegrała rolę kluczową zamykając słynny worek pod Falaise i odcinając przez to ostatnią drogę odwrotu armiom niemieckim. W wyzwoleniu Belgii miała poważny udział, o którym świadczą tablice pamiątkowe na murach miast flandryjskich. W Holandii wyzwoliła Bredę i przyczyniła się do ostatecznego wyrzucenia Niemców z południowej Holandii. W Niemczech zakończyła swój szlak bojowy w zdobytym porcie Wilhelmshaven. Na okupacji w latach 1945-47 stała się opiekunką wielosettysięcznej ludności polskiej w północno-zachodnich Niemczech.

W uroczystościach dziesięciolecia lądowania wojsk sprzymierzonych w Normandii pominięto całkowicie żołnierza polskiego. Pamięta go jednak ludność okolic wyzwolonych przez 1. Dywizję Pancerną i chce go widzieć u siebie w dziesięciolecie uzyskania wolności.

Toteż dziesiąta rocznica rozpoczęcia walk przez Dywizję nie będzie tylko świętem koleżeńskim polskich żołnierzy, ale zarazem obchodem międzynarodowym w czterech krajach zachodniej Europy: w Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii i Holandii. Punktem kulminacyjnym obchodu w Wielkiej Brytanii będzie akademia w Londynie, we Francji — uroczystości na cmentarzu dywizyjnym pod Falaise, w Belgii — obchód w Gandawie, w Holandii — trzydniowy zjazd w Bredzie. Uroczystości połączy w jedną całość wycieczka szlakiem bojowym dywizji, która wyruszy na Kontynent pod przewodnictwem gen. Stanisława Maczka, dowódcy dywizji w czasie wojny.

Uroczystości sierpniowe są czymś więcej niż świętem jednostki wojskowej, uczczeniem poległych i przypomnieniem dni chwały. Są odświeżeniem braterstwa broni między Polakami a ich sprzymierzeńcami z drugiej wojny światowej, wzmocnieniem węzłów przyjaźni z narodami, którym oręż polski przyniósł wyzwolenie. Stać się winny zarazem propagandą sprawy polskiej w wolnym świecie.

Uroczystości odbędą się w dniach 5 — 22 sierpnia.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

WYKOPALISKA RZYMSKIE W LONDYNIE

Zniszczenia, poczynione w Londynie przez bomby niemieckie, miały tę jedną przynajmniej dobrą stronę, że ułatwiły pracę wykopaliskową archeologom, badającym odległą przeszłość miasta. Niedawno przy kopaniu w okolicy Mansion House w City odkryto łożysko rzeki Walbrook, która miała odgrywać dużą rolę w życiu Londynu w wiekach średnich, później zaś, w wieku XV, „znikła".

Istnieją dawne tradycje, że rzeka ta służyła jako kanał dla barek i łodzi, które przepływały tą drogą z Tamizy aż po obszar dzisiejszego Mansion House, gdzie w średniowieczu znajdowało się targowisko żywności i innych towarów. Prace, prowadzone od dwóch lat przez archeologów z ramienia tzw. Roman and Medieval London Excavation Council, wykazały zupełną mylność tych tradycji. Okazało się, że rzeka, a raczej rzeczka Walbrook była za mała i za płytka, by mogła służyć tym celom i że w żadnym razie nie mogła być spławna aż po teren targowy dzisiejszego Mansion House'u.

Pozostawała do wyjaśnienia sprawa rzekomej barki, jaką wykopano w czasie prac budowlanych przy Queen Victoria Street w r. 1871. Przypuszcza się obecnie, że nie była to żadna barka, ale jakaś inna konstrukcja z drzewa.

Natomiast wykopaliska dały bardzo interesujące wyniki, jeśli chodzi o szczątki dawnego rzymskiego Londynu. Na tym samym właśnie miejscu, po wschodniej stronie łożyska Walbrook, odkopano do głębokości 10 stóp (tj. blisko 3½ metra) mury solidnej budowli z drugiej połowy I wieku po Chrystusie. Jest to niemal na pewno świątynia pogańska z tego okresu, prawdopodobnie jedna z najbardziej interesujących i najokazalszych w całej Anglii. Jak dotąd odsłonięto dopiero jej część północną.

W wyższych pokładach wykopano sporo naczyń z III i IV wieku po Chr., a więc także z okresu panowania rzymskiego.

200-LECIE „YORKSHIRE POST"

W tych dniach dziennik „Yorkshire Post", ukazujący się w Leeds, obchodził 200-lecie swego nieprzerwanego istnienia. Pismo zaczęło wychodzić w r. 1754, początkowo jako tygodnik pod nazwą „The Leeds Intelligencer". Stało się dziennikiem w r. 1866.

„Yorkshire Post" swym znaczeniem nie może się oczywiście równać z innym dziennikiem prowincjonalnym: „Manchester Guardian", który skutecznie konkuruje z londyńskim „Timesem" i ma szczęście do zdolnych redaktorów, nie pozwalających pismu podupaść mimo niszczycielskiego wpływu, jaki na prasę prowincjonalną wywierają wielkie koncerny prasowe stolicy. Po „Manchester Guardian" „Yorkshire Post" jest jednak niewątpliwie najpoważniejszym dziennikiem prowincjonalnym, którego wypowiedzi cytowane są dosyć często przez prasę londyńską. Kierunek pisma jest konserwatywny.

OBRAZY Z MUZEUM W SAO PAULO

Głównym wydarzeniem artystycznym Londynu jest w dalszym ciągu wspaniała wystawa rysynków i sztychów Goyi, odbywająca się w lokalu Arts Council przy St. James's Square.

Ale obok madryckiego Prado i inne muzeum, mianowicie bogata galeria obrazów w Sao Paulo w Brazylii użyczyła swych skarbów na wystawę w Londynie. Wystawa ta, zorganizowana również przez Arts Council, odbywa się w Tate Gallery i otwarta będzie do 15 sierpnia w dni powszednie od 10 — 6 (we wtorki i czwartki od 10 — 8), w niedziele od 2 — 6. Wstęp 1/6.

Obejmuje ona, w trzech salach, 77 niezwykle cennych dzieł sztuki europejskiej, od włoskiego „trecenta" poczynając. I tutaj znajdujemy jeden ze wspaniałych obrazów Goyi, przedstawiający inkwizytora Llorente. Specjalnie bogaty jest dział francuskich impresjonistów i post-impresjonistów z Renoirem, Courbetem, Manetem, Cézannem, Van Goghiem i Włochem Modiglianim.

POGADANKI JĘZYKOWE

Łowcy urojonych błędów

W poprzedniej pogadance podałem garść błędów językowych, które sięgają jeszcze czasów przedwojennych (o grzechach emigracyjnych pisałem już dawniej). Do błędów będę jeszcze powracał. Dzisiaj natomiast chciałbym się zająć „odwrotną stroną medalu": przesadą w tropieniu błędów, polowaniem na urojone wadliwości, tym co Anglicy nazywają „witch hunting", tylko że nie w dziedzinie politycznej, ale językowej.

Typowym argumentem takich inkwizytorów, zwłaszcza gdy brak im lepszych uzasadnień, jest t.zw. „poczucie językowe". „Moje poczucie językowe mówi mi, że to jest błąd" — powiadają i żądają, by im wierzono. Tymczasem owo „poczucie językowe" jest zwykle wyrazem własnych przyzwyczajeń i niczym więcej. Gdy ktoś sklep z kwiatami nazywa „kwiaciarnią" a nie „kwieciarnią", rozstrzygające jest tu dlań jego „poczucie językowe", mimo że za „kwieciarnią" przemawiają zasady fonetyki. Bo tak się przyzwyczaił mówić. „Argumentem" tym szermuje się szczególnie w sporach językowych między Polakami, pochodzącymi z różnych dzielnic.

Znamiennym przykładem owego przesadnego tropienia błędów jest klątwa, rzucona na wyraz **„światopogląd"**. Zarzuca mu się najpierw, że łączy w sobie dwa rzeczowniki, czego polszczyzna jakoby nie znosi, a powtóre że jest germanizmem, utworzonym na wzór wyrazu **„Weltanschauung"**.

Wypada na to zauważyć, że „światopogląd" jest niewątpliwie neologizmem, ale bynajmniej nie jedynym tego typu **„Ludowładztwo"**, polski odpowiednik „demokracji", zostało również utworzone z dwu rzeczowników i przyjęło się doskonale. W pięknej zaś staropolszczyźnie Jana Kochanowskiego znajdujemy inny przykład: wyraz **„trupokupiec"**, użyty w „Odprawie" (w wołaczu „trupokupcze").

Pozornie donioślejszy jest zarzut niemieckiego pochodzenia „światopogląd". Wrażliwi ultra-puryści mylą się jednak, sądząc, że jeżeli jakieś wyrażenie powtarza się w dwu językach, to w jednym z nich jest błędne. Jak w innych dziedzinach (gospodarczej, kulturalnej itd.), tak i w językowej nie ma dzisiaj hermetycznych granic między narodami i państwami. Nawet „żelazna kurtyna" nie jest szczelna. Języki oddziaływują na siebie wzajemnie, i to nie tylko języki narodów sąsiadujących ze sobą, lecz także takich, które — choć od siebie oddalone — należą do tej samej grupy cywilizacyjnej. Przytoczę tu przykłady (a można je mnożyć), świadczące, że są pewne wzorce, powtarzające się w kilku językach w tej samej albo w bardzo podobnej formie. Byłoby absurdem uważać, że tylko w jednym języku są poprawne. Polska „perłowa macica" odpowiada niemieckiej „Perlmutter" i angielskiej „mother-of-pearl". Porównajmy dalej naszą „burzę w szklance wody" z francuską „tempête dans un verre d'eau", angielskim „storm in the tea-pot" i niemieckim „Schaum in der Tasse"; lub wreszcie francuskie wyrażenie „courir un danger" z niemieckim „eine Gefahr laufen" i z analogicznym (choć w odmiennym znaczeniu) angielskim „to run risk". Wyrażenia te zdobyły sobie prawo obywatelstwa w każdym języku, w którym występują. Nie ma więc powodu skazywać na banicję „światopoglądu" ze względu na jego niemiecki odpowiednik.

I w ogóle w tropieniu błędów językowych zaleca się umiar i ostrożność.

Wig.

KSIĄŻKI

„WSPOMNIENIA NIEBIESKIEGO MUNDURKA"

„Szkolne lata" mają za sobą bogatą tradycję literacką w Polsce. Od biografii Imć Pana Mikołaja Reja przez Trzecieskiego, poprzez „Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego", „Szkolne lata Jana Dęboroga", do arcybogatego wyboru literatury XX wieku, mamy obrazy młodzieży, jej prac i zabaw, jej uczuć i myśli, jej zmagań się i dorastań do życia i jego wymagań.

Makuszyńskiego „Bezgrzeszne lata", Kadena „W cieniu zapomnianej olszyny", Nowakowskiego „Rubikon", Bieniasza „Kariera Józia Barącza", Parandowskiego „Niebo w płomieniach", Perzyńskiego „Aciaki z pierwszej A", Bogusławskiego „I znowu styczeń", wszystkie mówią o życiu młodzieży szkolnej, ujmując je bądź beztrosko i pogodnie jak Makuszyński i Perzyński (opisujący zresztą życie chłopców młodszych, zaczynających dopiero karierę szkolną), bądź też podbarwiając ją poważniejszymi problemami jak u Bieniasza i Nowakowskiego, bądź też wreszcie kładąc największy nacisk na przeżycie moralne, na przełom epoki dojrzewania, jak to jest u Parandowskiego.

Do tego cyklu książek należą Gomulickiego „Wspomnienia niebieskiego mundurka". Opisują one życie szkoły średniej w małym miasteczku w latach między 1860 - 1870. Mimo że rzecz dzieje się w okresie niewoli, pod zaborem, autor wstrzymuje się od akcentowania tego faktu, starając się o oddanie pogodnej i beztroskiej atmosfery, właściwej młodzieży. Zresztą w latach tych, przed Bismarckiem i Apuchtinem, nacisk władz zaborczych na szkołę nie był tak dojmujący, jak to stało się później.

Dlatego we „Wspomnieniach" nie ma bicia młodzieży (prócz kuksańców bardziej krewkich nauczycieli), nie ma wynaradawiania, jest natomiast szorstkie i rubaszne, ale serdeczne i wierne współżycie koleżeńskie, jest walka z ciałem nauczycielskim, prowadzona nie z wrogości, ale raczej dla sportu. W ogóle cała książka jest taka promienna, tchnie takim optymizmem, że czyta się ją z wielką przyjemnością. Mimo że pisana przy końcu **XIX** wieku, wydaje się być daleko bliższą tonem i nastrojem Syrokomli „Szkolnym latom Jana Dęboroga" niż np. Żeromskiego „Syzyfowym pracom". Ani jednej postaci złej, bo nawet nielubiany przez wszystkich „inspektor", zwany Madejem, rozumie na końcu, że błądził, będąc zbyt surowym dla młodzieży. O złych czynach nie ma nawet wzmianki, a wszelkie „świństewka" w rodzaju lizusowania czy skarżypytwa są wyszydzone i potępione przez zespoloną wierną przyjaźnią młodzież.

Lektura tej książki działa ożywczo i uspakajająco, choć trochę melancholijnie. Mimo woli wyrywa się westchnienie „To były czasy..."

Wznowienie tej książki należy poczytać za bardzo szczęśliwy pomysł. Nasuwa się refleksja, że bardzo pożądanym byłoby jakieś wznowienie lektury tego typu dla młodzieży żeńskiej. Boć literatura nasza jest równie bogata w książki o dziewczętach, zwłaszcza literatura z końca **XIX** i **XX** wieku. Czy np. nie dałoby się wznowić czegoś Urbanowskiej („Cudzoziemiec"), Morawskiej („Reginka", „Prawdziwe bogactwo") lub Żmijewskiej (trylogia „Płomień", „Dola", „Serduszko"). Ze wszechmiar godną polecenia byłaby też trylogia Potemkowskiej pt. „Koniczynka", pokazująca młodość trzech pokoleń Polek, książka o pięknej, szlachetnej wymowie moralnej i dużych walorach literackich. Należy sądzić, że wznowienia takie spotkałyby się z entuzjastycznym przyjęciem Polek na emigracji.

I. B.

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS"

12, Praed Mews, London, W.2.

OGŁASZA PRZEDPŁATĘ NA POWIEŚĆ SATYRYCZNĄ

EVELYN WAUGH

SCOOP

w przekładzie T. Skórzewskiej.

Termin nadsyłania przedpłaty w kwocie 8/6 + 6 d. (dol. 1.50) za przesyłkę upływa 31 lipca 1954 r.

Po ukazaniu się książka kosztować będzie 15/-.
Prosimy nie zwlekać z zamówieniem. Czeki, przekazy pocztowe (P.O. i M.O.) na „Veritas Foundation".

NOWOŚĆ WYDAWNICZA

Książka dla teatrów amatorskich, zespołów tanecznych, bibliotek, szkół i rodziców chcących ubrać swe dziecko w tradycyjny, piękny strój polski.

IRENA KARPIŃSKA: POLSKIE UBIORY LUDOWE NA SCENIE

Ubiory: góralski (ze zbójnickim), śląski, krakowski, łowicki, kurpiowski. Rysunki, kroje, opisy, wiadomości etnograficzne. Stron 188 oraz 21 tablic i rysunków.

Wydawcy: Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Polska Y.M.C.A., Związek Harcerstwa Polskiego. Skład główny: SPK, 18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7, oraz wszystkie księgarnie polskie. Cena 12/6, porto 6 d.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno-Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godz. 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6 d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY: a) **w krajach bloku szterlingowego:** — Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** — International Money Orderem lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego. c) **we wszystkich innych krajach:** — do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: **Przedstawiciel — „Libreria Polaca"**, Av. Leandro Alem 641, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty. Ltd.**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85, Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A.; BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kulakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. - 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlinska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. FRANCJA: **Przedstawiciel Generalny — „Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile. Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **P. M. K.**, Schorsmolenstraat 9, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Av., Montreal 6; **International Book Service**, 57, Queen Street W., Toronto i **„Radegast"**, 576, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man.; Prenumerata kwartalna $ 2.00; NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Seehammerstr 4, Bar. 16 B/2 (13B) München 54 oraz **„Informacja Prasowa"** — Postfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM.; NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun, ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"** — 615, Henry Street, Utica N. Y. oraz **M. Kijowski** — 13171, McDougall, Detroit 12, Mich, oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne N. Jersey, oraz **„Pomoc" — Export Import** — 761, Fillmore Ave, Buffalo 12,, N.Y. Prenumerata kwartalna $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr. A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna Frs. 5.00. SZWECJA: Przedstawiciel: **Mgr. B. Kurowski** — Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 Kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme. Z. Bulhak-Jelska — via Salaria 300/c, Roma.**

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734.